

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 234
październik 2008



PAŹDZIERNIK
MIESIĄCEM
OSZCZĘDZANIA!

OKŁADKA
NASTĘPCZA
i EKOLOGICZNA

WSTĘPNIAK ANIMOWANY

Obrodziło nam ostatnio filmami animowanymi. Na kinowych ekranach wciąż jeszcze można upolować chociażby kinowy epizod z Wojen Klonów czy widziany ze strony trzech much pierwszy lot na Księżyc. Ja zresztą na żaden z powyższych akurat się nie wybieram. „Gwiezdne wojny” niezmiennie pozostają dla mnie mityczną opowieścią filmową – i liczne okołostarwarsowe epizody (w formie komiksu, książki czy animacji) nigdy mnie nie interesowały. Trójwymiarowych filmów (łącznie z jakimś animowanym komputerowo horrorem) naoglądałem się swego czasu do woli w warszawskim IMAX-ie. Pamiętam też, choć byłem wtedy dziesięcioletkiem, transmisję z lądowania Amerykanów na Księżycu (ponoć PRL był jedynym państwem bloku wschodniego, który to nadał w telewizji!).

Za to pod koniec kanikuly obejrzałem w gdyńskim multipleksie film, z którego jakoś nikt nie napisał recenzji ani na łamach „Informatora”, ani w zaprzyjaźnionym serwisie Zakazana Planeta. Tym filmem był „Wall-e”. Moim (jak też oficjalnych recenzentów) zdaniem – absolutna rewelacja kina animowanego ostatnich lat! Publiczność chyba podzielała tę opinię, gdyż – choć od premiery minęły wtedy równo dwa miesiące – sala była pełna.

Rzeczywiście, ta opowieść o zaśmieconej Ziemi i zakochanym robotku-śmieciarce nie razi ani nachalnym dydaktyzmem, ani cklwym sentymentalizmem. Jest autentycznie urocza, autentycznie wzruszająca – i nieodparcie zabawna. Zaś pierwsze („ziemskie”) sekwencje filmu spotkany na korytarzu w pracy AlBERT (notabene też mój poprzednik na stołku rednacza) określił trafnie mianem „czystej poezji”. Dodać do tego można rozmaite mrugnięcia do dorosłej publiczności (np. zbuntowany komputer łypiący czerwonym okiem Hala z „Odyssey kosmicznej”). Mnie zresztą ujmujące spojrzenie Wall-e’go przypomniało nieco „wyraz twarzy” Johnny’ego Piątki z komediowej dylogii „Krótkie śpięcie” (będącej jednym z hitów wideo z czasów początków klubów fantastyki w Polsce). I nawet finałowy pościg (jak wiele komediowych hitów amerykańskich zawiera musi zabawę w policjantów i złodziei) w tym filmie nie raziło, gdyż wiązało się z jego przesłaniem (przemiana kapitana).

Nie będę tu jednak zamieszczał szczegółowej recenzji filmu, zbyt dużo czasu od premiery upłynęło. Dorzucę raczej kilka refleksji o filmie animowanym jako takim.

Przez wiele osób, zwłaszcza starszej daty, film animowany odbierany jest jako produkt li tylko dla dzieci, i to tych młodszych. Potocznie nawet używają wobec niego określenia „bajka”. Pamiętam pefen oburzenia list do telewizji jakiegoś rodzica, który zostawił syna w wieku przedszkolnym przed ekranem, a sam poszedł do kuchni przygotować coś do jedzenia. Gdy wrócił – zastał dziecko w ciężkim stanie lękowym bliskim katatonii. Tak, ale tą animowaną „bajką” było... „Strzyżenie owiec”! Ma się ochotę powiedzieć za jednym z bohaterów „Kronik marsjańskich” Bradbury’ego: „Niewiedza się mści” – szkoda tylko, że tu zemściła się na Bogu ducha dziecku, nie zaś na tatusiu-ignorancie.

Filmy animowane można by zresztą podzielić na kilka grup – i nie mam tu na myśli technik animacji (np. rysunkowy, lalkowy, komputerowy), lecz założonego odbiorcę dzieła.

Mamy filmy przeznaczone głównie i wyłącznie dla dzieci; część z nich jest dla osób dorosłych aoglądalna, ale część ma swój urok (jak np. czechosłowackie dobranocki).

Mamy filmy dla dzieci, ale z mrugnięciem oka w kierunku widza dorosłego (można to już zauważyć w takiej disneyowskiej klasyce, jak „Piotruś Pan” czy „101 dalmatyńczyków”).

Mamy filmy przeznaczone dla każdego widza – ale twórcy od razu zakładają, iż widz dorosły będzie miał pełniejszy ubaw podczas seansu (tu najdoskonalszym przykładem długo pozostanie chyba amerykańska adaptacja przewrotnej opowieści o zielonym Ogrze).

Mamy filmy przeznaczone wyłącznie dla widzów dorosłych (dwa razy spotkałem się z filmem od 21 lat: byli to „Urodzeni mordercy” oraz – kinowy epizod serialu „South Park”).

Mamy też czysto artystyczny film animowany (w którym zresztą polscy twórcy zawsze stanowili autentyczną potęgę!).

URODZINY

Drodzy grudniowi Jubilaci!
Przepaszcie biodra swoje* i przybywajcie
do Jastrzębiej Góry na XXII Nordcon
- a tam złożymy Wam najlepsze życzenia
osobiście...

Redakcja „Info”

3	Bartosz Pietrzak	13	Piotr Terszel
4	Lance Oszko	14	Ewa Białołęcka
5	Tomasz Świdorski		Michał Stawski
8	Mariusz Czach	25	Adam Lewandowski
9	Michalina Biedrzycka	30	Agata Słomińska
12	Wojciech Janus		



* tłumacząc na współczesną polszczyznę: „weźcie dupę w troki”!

PAŹDZIERNIKOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 19 października 2008 r. Poruszane sprawy:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

Zarząd ustalił współczynnik ilościowy delegatów z KL na Walne Zebranie na: 1 delegat na każdych 5 członków KL (z zaokrągleniem w górę każdej zaczętej piątki, bez uwzględnienia członków KL, którzy są w Zarządzie, Komisji Rewizyjnej i Radzie Stowarzyszenia).

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Przeniesienia

Zarząd przeniósł z KL „Angmar” do KL „Mirror”: Michała Kopcia, Ewę Krasowską, Urszulę Płóciennik i Konrada Klepackiego.

2. Przyjęcie członków do GKF

Szymon Andrzejewski (Angmar)

Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze GKF

Lista nr 1 delegatów na Walne Zebranie GKF

Zgodnie ze Statutem delegatami są *a priori* członkowie Zarządu GKF, Rady Stowarzyszenia i Komisji Rewizyjnej:

1. Adam "Ceti" Cetnerowski (prezes)
2. Tomasz "Yoga" Hoga (wiceprezes)
3. Michał Szklarski (wiceprezes)
4. Bogusław Gwozdecki (skarbnik)
5. Marcin Szklarski (sekretarz Zarządu)
6. Krzysztof "Papier" Papierkowski (członek Zarządu)
7. Piotr "Różia" Rozenfeld (przewodniczący Komisji Rewizyjnej)
8. Sławomir Ginter (członek Komisji Rewizyjnej)
9. Piotr "Fortep" Bortkun (prezes KL "Angmar")
10. Elżbieta Kotlarek (prezes KL "First Generation")
11. Anna Papierkowska (prezes Klubu Członków Korespondentów)
12. Radosław "Daniel" Łagan (szef Działu Bibliotecznego)
13. Janusz Piszczek (szef Działu Kolportażu)
14. Adam "Lewy" Lewandowski (szef Działu Gier Planszowych i Karcianych)
15. Michał "Faraon" Stawski (szef Działu Gier Strategicznych)
16. Wojciech "Ingiel" Ingielewicz (szef Działu Gier Fabularnych)
17. Jan "PiPiDziej" Plata-Przechlewski (redaktor naczelny "Informatora GKF")
18. Władysław "Wojtek" Wojtkiewicz (członek Rady Stowarzyszenia)
19. Piotr "Prezes" Mazurowski (członek Rady Stowarzyszenia)

Lista nr 2 delegatów na Walne Zebranie GKF

Są to delegaci wybrani w Klubach Lokalnych:

KL "The First Generation"

1. Bohdan Kałużny
2. Ula Lisowska
3. Emir Muchla
4. Barbara Muchla.

Ponadto mają być jeszcze wybrani delegaci:

w KL "Angmar" – 11-tu, a w KL "Mirror" – 4-ch.



W dniach 26-28 września 2008 roku, w miejscowości Darnetal niedaleko Rouen w Górnej Normandii, odbyła się kolejna – trzynasta już – edycja festiwalu komiksu Normandiebulle 2008. Dotąd festiwal ten skupiał autorów wydających swoje komiksy we Francji. W tym roku jednak organizatorzy postanowili zaprosić twórców działających aktywnie poza granicami kraju Asterixa i Obelixa. Dzięki organizacji Europe Echanges, zajmującej się wymianą kulturalną m.in. między Rouen a Wejherowem (miasta partnerskie), wybór padł na dwóch wejherowskich komiksarzy: Bartka Glazę i na mnie – czyli niżej podpisanego.

Na kilka dni przed wyjazdem otrzymaliśmy bilety autokarowe z rąk pani Jolanty Rożyńskiej, dyrektor Wejherowskiego Centrum Kultury – i tak rozpoczęły się nasze przygotowania do podróży do Francji. Wyjazd był dofinansowany przez Urząd Miasta Wejherowo.

Wyjechaliśmy z Wejherowa w czwartek 25 września o godzinie 18:00. Przyjazd do Paryża planowany był na 18:30 następnego dnia. Z Paryża do Rouen wyszukaliśmy wcześniej połączenie kolejowe. Jednakże już na początku trasy pojawiły się problemy z ogrzewaniem w pojeździe. Próby naprawy instalacji grzewczej w kraju spełzły na niczym. Ostatecznie awarię udało się usunąć w całodobowym serwisie w Berlinie, w godzinach nocnych. Dalsza część jazdy do Paryża przebiegała już bez zakłóceń. Nocą jechaliśmy niemieckimi autostradami. Rano zatrzymaliśmy się w Amsterdamie. Kolejnymi przystankami na trasie naszego autokaru były: Haga, Rotterdam, Antwerpia, Bruksela, następnie francuskie miasto Lille. Około 21:00 przybyliśmy na Place de la Concorde w Paryżu. Paryskim metrem przemieściliśmy się stamtąd w okolice dworca St. Lazare, skąd odjeżdżają pociągi w kierunku Rouen. Zrobiłem sobie pamiątkowe zdjęcie w Photomatonie, zupełnie tak jak w filmie „Amelia”. Czekając na nocny pociąg intercity, ochłonawszy nieco po kilkunastogodzinnej jeździe, obserwowaliśmy nocne życie Paryża.

Do Rouen dotarliśmy o 1:00 w nocy. Na dworcu kolejowym przywitała nas pani Jeannine Savalle, przewodnicząca sekcji polskiej Europe Echanges, pani Helene Chapron, nasza tłumaczka, oraz pan Philippe Millon, były prezes tej organizacji.

Zgodnie z zasadami działalności Europe Echanges – uczestnicy wymiany kulturalnej mieszkają u rodzin strony goszczącej. Gospodarze domu, w którym mieliśmy nocować na czas festiwalu, państwo Bernadette Mallet (obecna prezes) i Eric Mallet, uraczyli nas powitalną kolacją.

Na miejsce festiwalu pani Mallet zawiozła nas około godziny 9:00. Tuż obok merostwa Darnetal zainstalowano wielki namiot, gdzie odbywały się warsztaty rysunkowe, prezentacje multimedialne, wystawy plansz komiksowych, sesje autografów, a przede wszystkim giełda komiksów. Pod tym namiotem właśnie, na wyznaczonej dla nas powierzchni wystawowej, ja i Bartek, z pomocą pani Chapron, rozwiesiliśmy komputerowe wydruki prac komiksowych Aleksandry Czubek-Spanowicz i Jana Platy-Przechlewskiego. Na stolikach położyliśmy nasze prace, w tym też te wydane drukiem, publikacje Gdańskiego Klubu Fantastyki, wydane albumy wyżej wymienionych autorów, a także antologie poetów „Zakoła rzeki Redy”. Festiwalowa publiczność mogła też przeczytać o działalności jedynej w Polsce Pracowni Komiksowej, będącej filią Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Europe Echanges przygotowała foldery o Wejherowie w języku francuskim.

Na wejherowskim stoisku dyżurowaliśmy wraz z panią Chapron do godziny 13:00. Potem udaliśmy się na obiad przygotowany dla twórców i wydawców komiksów w pobliskiej szkole. Podczas posiłku, przy nieodzownym winie, spotkaliśmy duet francuskich twórców komiksów historycznych. Wywiązała się dość ożywiona rozmowa między nami a rysownikiem z tego duetu na tematy właśnie historyczne. Twórca był też zainteresowany przyjazdem do Polski. Po obiedzie wróciliśmy na nasze stoisko, gdzie rysownik ten obejrzał nasze prace. Przejrzenie komiksów wystawionych na sprzedaż na giełdzie zaowocowało kilkoma udanymi zakupami. Wymieniłem poglądy na temat współczesnego świata z człowiekiem będącym jednocześnie wydawcą i rysownikiem. Jak się łatwo domyśleć – wydawał on swoje zaangażowane społecznie i politycznie komiksy, ale także świetne książeczki dla dzieci.

Festiwalowy roboczy dzień skończył się dla nas około godziny 17:00. Państwo Mallet zabrali nas na przejażdżkę samochodem po okolicy. Z punktu widokowego zobaczyliśmy przepiękną panoramę aglomeracji Rouen. Spacerując brzegiem Sekwany zatrzymaliśmy się w jednej z restauracyjek. Sącząc zamówione alkohole podziwialiśmy otwarty dzień wcześniej most podnoszony oraz oczywiście wdzięki francuskich kobiet. Państwo Mallet opowiedzieli nam trochę o mieście i o tym, jak się zmienia oraz o początkach działalności Europe Echanges.

Po tej krótkiej ale intensywnej wycieczce wróciliśmy do państwa Mallet. Tutaj przygotowaliśmy się do kolejnego punktu naszego pobytu we Francji. Wieczorem udaliśmy się bowiem na kolację wydaną przez mera Darnetal, pana Christiana Lecerf, dla festiwalowych gości. W budynku merostwa, na szerokich schodach prowadzących na piętro do sali bankietowej, zorganizowano szybką sesję fotograficzną – komiksiarze ustawili się do zbiorowego zdjęcia. Wcześniej jednak pokazałem swoje prace kolejnym francuskim twórcom komiksu, między innymi scenarzyście urodzonemu w Rouen, Fredowi Duval. Kilka osób deklarowało przybycie na niedzielną część festiwalu, lecz nie widzieliśmy ich już następnego dnia. Kolację rozpoczął mer miasta oficjalnym przywitaniem gości, szczególnie zwrócił uwagę na obecność na sali członków Europe Echanges oraz gości z Polski, czyli nas. Zresztą pan Christian Lecerf dosiadł się na chwilę do naszego stolika i krótko porozmawiał z nami. Dania były bardzo wykwintne, pan Eric Mallet nazwał je „sophisticated” czyli wyszukane. Zwracała obecność sera pleśniowego nawet w cieście. Kolacja skończyła się około północy.

Niedziela była dla nas drugim dniem festiwalu; przebiegał on podobnie do soboty. W godzinach rannych frekwencja publiczności nie dopisywała – dopiero po południu, chyba w ramach spaceru, pojawiło się wielu odwiedzających. Zwłaszcza że była piękna pogoda, słonecznie i ciepło.



Zadzzwoniłem do Małgosi Jaskuły z Redy, do której kontakt otrzymaliśmy poprzez WCK od Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Chcieliśmy się od niej dowiedzieć nieco o studenckim życiu w Rouen. Około 14:00 poszliśmy na obiad. Wchodząc do budynku szkoły, gdzie podawano posiłki, zostaliśmy zaproszeni do skosztowania aperitif. Właściwie szkoda, że nie skorzystaliśmy z tego zaproszenia: w końcu to wybitnie francuska praktyka na pobudzenie trawienia przed właściwym posiłkiem! Do naszego stolika dosiadł się dyrektor festiwalu, by chwilę porozmawiać, co było kolejnym miłym gestem ze strony francuskiej. Organizatorzy zrobili mnie i Bartkowi zdjęcia. Szybko je wydrukowano i dorysowaliśmy na nich pamiątkowe rysunki. Małgosia Jaskuła zjawiała się na festiwalu około godziny 16:00. Porozmawialiśmy, jak już pisałem, o życiu studenta w Rouen, Małgosia ze swej strony zapytała, co się dzieje z wejherowskim kolegą. Wyraziłem jasno swoją negatywną opinię o usunięciu pojazdu z jego dotychczasowego miejsca. Na tym tle wynikała drobna różnica zdań między mną a Bartkiem. Od początku festiwalu z niekłamana przyjemnością przyglądałem się francuskim przedstawicielkom płci pięknej. Podzieliłem się nawet moim zachwytem nad tutejszymi kobietami z panią Chapron. Zaprosiłem jedną z organizatorek do wspólnego ze mną zdjęcia. Nieco zdziwiona zgodziła się, potem dziewczyna na pożegnanie powiedziała: „see you soon”, odpowiedziałem: „maybe next year”.

O 17:00 państwo Mallet przyjechali po nas i zabrali na kolejną wycieczką samochodem po okolicy, równie intensywną co sobotnia. Tym razem zobaczyliśmy gotyckie katedry, pozostałości średniowiecznych murów i kamieniczki z tego okresu, Pałac Sprawiedliwości, wstąpiliśmy też do galerii sztuki. Z niekłamana satysfakcją oglądałem gotycki kościół, który malował francuski malarz impresjonista Claude Monet. Wieczorem czekała na nas pożegnalna kolacja u państwa Mallet. W gronie osób z Europe Echanges w saloniku zasiedliśmy do aperitif. Zagryzając orzeszki i oczywiście chrupiące kawałki sera sączyliśmy alkohol. Właśnie tu wręczyliśmy souvenir y pani Helene Chapron i pani Bernadette Mallet przekazane nam przez Wejherowskie Centrum Kultury. Pan Mallet pokazał nam swoją kolekcję miniaturowych armii – wśród figurek Bartek dostrzegł miniaturowego małego powstańca warszawskiego. Ja również nie miałem problemów, by go odnaleźć. Kolacja mijiała w miłej, wesołej atmosferze. W pewnym momencie jadalnię zapełniła tylko mowa francuska, co ja i Bartek skwitowaliśmy uśmiechami. Bartek dla pana Erica Mallet wykonał karykaturę gospodarza domu i rysunek Tintina. Wraz z gospodarzami domy pożegnaliśmy serdecznie panią Savalle, panią Chapron i pana Millon. Późnym wieczorem spakowaliśmy się do podróży.

Wczesnym rankiem w poniedziałek 29 września pani Bernadette Mallet odwiozła nas na dworzec kolejowy w Rouen. Było zimno i mgliście – czyli tak, jak zwykle tu w Normandii. Kupiliśmy bilety i, pożegnawszy się z panią Bernadette, wsiedliśmy do pociągu. Około 9:00 pociąg przybył na dworzec St. Lazare. Zdecydowanie sprawniej niż po przyjeździe do Paryża przemieściliśmy się metrem na Place de la Concorde. Tutaj Bartek zrobił mi zdjęcie z wieżą Eiffla w tle, ja sfotografowałem oddalony nieco od Placu Łuk Triumfalny. O 10:00 powrotny autokar ruszył w kierunku Polski. Zacząłem przez okna fotografować mijane przez nas obiekty. Na kolejnych przystankach dosiadali się nowi pasażerowie. Po ostatnim postoju w Amsterdamie pojazd był kompletnie obłożony. Niestety, znalazły się osoby, które w ten czy inny sposób uprzykrzały innym pasażerom podróż. Na tym bym tę kwestię zakończył.

Do Wejherowa wróciliśmy około 9:30 we wtorek rano. Pomimo tego, że moja pierwsza w życiu podróż zagraniczna zakończyła się – żyłem nią jeszcze długo potem i żyję nadal. Na tyle długo, że dopiero trzy tygodnie potem byłem w stanie napisać tę relację z większym dystansem, gdyż nie było to możliwe tuż po powrocie z festiwalu komiksu we Francji.

Tomasz Mering

migawki z samego festiwalu – na stronie internetowej: www.normandiebulle.com

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

druga połowa listopada i grudzień 2008

PAN BŁYSK (MR BLISS) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Prószyński i S-ka

SIEĆ NIEBIOS (HEAVEN'S NET IS WIDE: THE FIRST TALE OF THE OTORI) – LIAN HEARN

Wydawca: W.A.B.

BRESLAU FOREVER – ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

Wydawca: Fabryka Słów

BRISINGR (BRISINGR) – CHRISTOPHER PAOLINI

Wydawca: MAG

ENDYMION (ENDYMION) – DAN SIMMONS

Wydawca: MAG

INTRUZ (THE HOST) – STEPHENIE MEYER

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie

KLAN WILCZYCY (CLAN DE LA LOBA) – MAITE CARRANZA

Wydawca: Jaguar

KŁAMCA 3. OCHŁAP SZTANDARU – JAKUB CŹWIEK

Wydawca: Fabryka Słów

WYSPA WYPACYKOWANEJ KAPŁANKI MIŁOŚCI (ISLAND OF THE SEQUINED LOVE NUN) – CHRISTOPHER MOORE

Wydawca: MAG

LATO HELIKONII (HELLICONIA SUMMER) – BRIAN W. ALDISS

Wydawca: Solaris

DZIECI DIUNY (CHILDREN OF DUNE) – FRANK HERBERT

Wydawca: Rebis

POGROM JEDI (JEDI TWILIGHT) – MICHAEL REAVES

Wydawca: Amber

CHUDSZY (THE THINNER) – STEPHEN KING

Wydawca: Albatros – Andrzej Kuryłowicz

PRZENICOWANY ŚWIAT (ОБИТАЕМЫЙ ОСТРОВ) – ARKADIJ STRUGACKI, BORYS STRUGACKI

Wydawca: Prószyński i S-ka

ZAMEK LORDA VALENTINE'A (LORD VALENTINE'S CASTLE) – ROBERT SILVERBERG

Wydawca: Solaris

BIAŁY PŁOMIENIŃ NA MAGIĘ (WHITE IS FOR MAGIC) – LAURIE A. FARIA

Wydawca: Amber

LYE STREET – ALAN CAMPBELL

Wydawca: MAG

POLARIS (POLARIS) – JACK MCDEVITT

Wydawca: Solaris

CHARAKTERNIK – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów

CZARNOKSIĘŻNIK (THE WIZARD) – GENE WOLFE

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie

GWIEZDNY MOTYL (LE PAPILLON DES ETOILES) – BERNARD WERBER

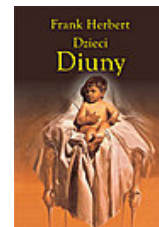
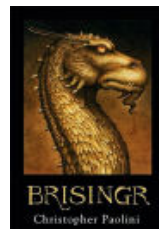
Wydawca: Sonia Draga

HEREZJARCHA – JACEK KOMUDA

Wydawca: Fabryka Słów

HEROLD ZMIERZCHU (TWILIGHT HERALD) – TOM LLOYD

Wydawca: Rebis



MALOWANY CZŁOWIEK (THE PAINTED MAN) – PETER V. BRETT

Wydawca: Fabryka Słów

MIECZ I KWIATY, TOM 1 – MARCIN MORTKA

Wydawca: Fabryka Słów

POWRÓT ORKÓW (DIE RÜCKKEHR DER ORKS) – MICHAEL PEINKOFER

Wydawca: Red Horse

SERCE TEŚCIOWEJ – RAFAŁ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka Słów

SZANSA (SPORTING CHANCE) – ELIZABETH MOON

Wydawca: ISA

CHORAĞIEW MICHAŁA ARCHANIOLA – PRZECHRZTA, ADAM

Wydawca: Fabryka Słów

LEGENDY CYBERKATAKUMB - LEWANDOWSKI, KONRAD T.

Wydawca: Fantasmagoricon

SYNOWIE KAINA, CORY LILITH – CIEĆWIERZ PAWEŁ

Wydawnictwo: FANTASMAGORICON

WOJENNE DZWONY – ANTOLOGIA

Wydawca: Fabryka słów

RETROSPEKTYWA TOM 3 – BŁĘDNY RYCERZ – MARTIN GEORGE R.R.

Wydawca: Zysk i S-ka

ZADRA CZĘŚĆ 2 – PISKORSKI KRZYSZTOF

Wydawca: Runa

NOCNY OBSERWATOR - DIWOW OLEG

Wydawca: Fabryka słów

KRÓLOWA ZIMY (THE SNOWQUEEN) – JOAN D. VINGE

Wydawca: Solaris

WAŻ I GOŁĘBICA – PIEKARA JACEK

Wydawnictwo: Fabryka słów

GŁOS PANA – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

OPOWIEŚCI O PILOCIE PIRXSIE – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

DOSKONAŁA PRÓZNIA – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

BAJKI ROBOTÓW – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

ŚLEDZTWO. KATAR – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

SZPITAL PRZEMIENIENIA – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

EDEN – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

POWRÓT Z GWIAZD – LEM STANISŁAW

Wydawnictwo: Agora

Na podstawie serwisów: esencja.pl, katedra.nast.pl i solarisnet.pl przygotował:

Janusz Piszczek



TVP PO CIEMNEJ STRONIE MOCY?

Tydzień po IV epizodzie „Gwiezdných wojen” telewizjowcy mieli pełne prawo oczekiwać emisji „Imperium kontratakuję”. A tu – nic z tego! Decyzja totalnie idiotyczna: albo należało wyświetlić wszystkie części sagi pod rząd, albo dłuższą przerwę zaordynować między trylogią nową a klasyczną. Może jednak telewizję publiczną, w ślad za Misją, opuściła również Moc?

jpp

70-LECIE NAJSŁYNNIEJSZEJ PANIKI

30 października minęło dokładnie siedemdziesiąt lat od nadania w USA legendarnego słuchowiska radiowego Orsona Wellesa – wg „Wojny światów” Herberta George’a Wellsa.

jpp



ZMARŁ BARRINGTON J. BAYLEY

Pisarz związany z Nową Falą. W Polsce znany głównie z wydanej w latach 80. powieści *Kurs na zderzenie*.

wg: forum gkf.art.pl

LEM – KOLEJNA EDYCJA

Od połowy października 2008 r. do końca stycznia 2009 r., w nowej serii książkowej „Gazety Wyborczej”, nabywać można 16-tomowe wydanie dzieł Stanisława Lema (w tym dwa utwory dotąd niepublikowane); całość dodatkowo okraszona tekstami i wypowiedziami m.in. Jerzego Jarzębskiego, Jacka Dukaja, Borysa Strugackiego, Edmunda Wnuka-Lipińskiego, Tadeusza Sobolewskiego, Wojciecha Orlińskiego.

jpp



DUŻA ODWAGA...

Travis Wright (autor scenariusza „Eagle Eye”) ogłosił, iż pracuje nad fabułą filmowego sequela... „Łowcy androidów”. Praca jest, jak na razie, na dość wczesnym etapie – i jej efekt nie został jeszcze zaprezentowany żadnemu z hollywoodzkich studiów.

jpp

POCZĄTEK KOŃCA ERY SSAKÓW?

Jak donoszą ekologowie w specjalnym raporcie: jedna czwarta gatunków ssaków lądowych i jedna trzecia gatunków ssaków morskich – jest zagrożona wyginięciem.

wg: www.wyborcza.pl

W TRÓJMIEŚCIE BĘDZIE WRESZCIE „IMAX” 3D

Gigantyczne kino do specjalnych projekcji ma powstanie na Młodym Mieście (terenach postoczniowe) w Gdańsku przed końcem 2012 roku.

jpp

„W KRAINIE ANIMACJI”

W gdyński Klubie Filmowym odbył się w ostatni weekend października jubileuszowy przegląd zorganizowany z okazji 60-lecia polskiego filmu animowanego.

jpp

PIĄTA EKSPEDYCJA „INDIANY JONESA”?

Ponoć istnieje tajemniczy scenariusz, który zafrapował i Stevena Spielberga, i George'a Lucasa, i Harrisona Forda. Wyczekiwany drugi oddech – czy raczej sardoniczny żart?

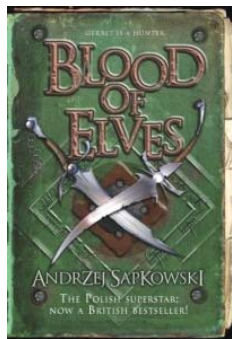
jpp

W PIĄTYM „JONESIE” NIE BYŁOBY JUŻ GÓRY?

Steven Spielberg ostatecznie rozstał się z amerykańską wytwórnią filmową Paramount – informuje Polska Agencja Prasowa. Twórca „Indiany Jonesa” otwiera nowe studio wspólnie z indyjską firmą telekomunikacyjną Reliance ADA Group. W nowej kompanii zatrudnienie znajdzie większość obecnego personelu, współzałożonego przez Spielberga, studia DreamWorks. Odejście Spielberga było zapowiadane od dłuższego czasu, gdyż jego stosunki z wytwórnią Paramount już od dawna były napięte. Obie strony zapewniają jednak, że rozstają się w dobrej atmosferze i zrealizują do końca wszystkie wspólne projekty.

wg: www.gildia.pl

AS W UK - CZYLI NOMINACJA



Andrzej Sapkowski otrzymał nominację do nagrody David Gemmel Award for Fantasy za angielskie wydanie pierwszej części sagi o wiedźminie „Krew elfów” („The Blood of Elves”). Nagroda David Gemmel Legend Award powstała niedawno dla uhonorowania pamięci zmarłego pisarza i przeznaczona jest dla powieści fantasy napisanych „w duchu dokonań Davida Gemmella” – co oznacza przede wszystkim heroic fantasy w klasycznym stylu. Nominacje do nagrody zgłaszają wydawcy, natomiast ostateczny werdykt należy do czytelników, którzy drogą głosowania on line wyłaniają pięć najlepszych powieści. Spośród nich „panel ekspertów” wybierze zwycięzcę. Konkurs dotyczy wyłącznie utworów wydanych w języku angielskim. Głosować może każdy w terminie do marca 2009 roku, zaś rozstrzygnięcie nastąpi w czerwcu w Londynie. Zwycięzca otrzyma trofeum - replikę słynnego topora Drussa, bohatera cyklu powieściowego Davida Gemmella.

wg: www.gildia.pl

LEM ANIMOWANY

Słynni twórcy lalkowych animacji, bracia Stephen i Timothy Quay, zrealizują w współpracy z łódzkim Se-Ma-Forem film na podstawie minipowieści Stanisława Lema „Maska”. To opowieść o robocie, który przebrany za kobietę ma zabić naukowca-dysydenta. Akcja toczy się w zaawansowanym technologicznie, ale jednocześnie feudalnym świecie. Prace nad filmem wystartują w łódzkim studiu już w styczniu. W Se-Ma-Forze zrobią konstrukcje lalek oraz zajmą się pracami postprodukcyjnymi. Pieniądze na „Maskę” wyłożą głównie Polacy: Instytut Kultury Polskiej w Londynie, Polskie Wydawnictwa Audiowizualne, Instytut Adama Mickiewicza, a Se-Ma-For wystąpi o pieniądze do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. – „Londyński PIK wpadł na pomysł, by po sukcesach 'Piotrusia i wilka' kontynuować dobrą passę w Anglii. Najlepszym pomysłem wydawało się zaproszenie do współpracy kogoś z wybitnych brytyjskich twórców. A że udało się z braćmi Quay, których wymienia się jednym tchem po Timie Burtonie i Nicku Parku, to już naprawdę wspaniale” – mówi Adam Ptak, wiceszef Se-Ma-Fora.

wg: www.gildia.pl



„ŻUŁAWSKI FEST”

22 października rozpoczął się w sopockim kinie „Polonia” przegląd filmów Andrzeja Żuławskiego, uchodzącego za najbardziej kontrowersyjnego polskiego reżysera. W przeglądzie „Żuławski Fest” znalazły się cztery filmy, z których dwa wpisują się w tematykę bliską fantastyce: „Na Srebrnym Globie” (29.XI.), który jest jedynym epickim filmem fantastycznonaukowym w całej historii polskiej kinematografii (reżysera zainspirowała modernistyczna trylogia napisana przez jego dziadka) oraz „Opętanie” (12.XI.), stanowiące niezwykle przykłady seksualno-fantastycznego thrilleru (za efekty specjalne odpowiadał Carlo Rambaldi, którego dokonania są szerzej znane z filmów „Obcy” i „Diuna”). Podczas ostatniej projekcji zaplanowano spotkanie z reżyserem. Imprezie towarzyszy również promocja książki Piotra Mareckiego i Piotra Kletowskiego „Żuławski – Przewodnik Krytyki Politycznej”.

wg: DKF „Marcello” (Sopot)

SENSACYJNA FORMA ŻYCIA

Znalezione w południowoafrykańskiej kopalni złota bakterie potrafią żyć w całkowitej izolacji. Mogą one pomóc w zrozumieniu ewentualnego życia poza Ziemią – informuje „New Scientist”. Bakterie *Candidatus Desulforudis Audaxviator* odkryto 2,8 kilometra pod powierzchnią Ziemi w wypełnionych płynem szczelinach w południowoafrykańskiej kopalni złota Mponeng. Temperatura sięga tam 60 stopni Celsjusza, nie ma światła ani tlenu.

Badając geny mikroorganizmów znalezionych w próbkach płynu, Dylan Chivian z Lawrence Berkeley National Laboratory w Kalifornii odkrył, że 99,9% DNA należało do nieznanego nauce gatunku bakterii – pozostałe 0,1% okazało się zanieczyszczeniami pochodzącymi z kopalni i laboratorium.

To, że pojedynczy gatunek potrafił się utrzymać przy życiu w tak ekstremalnym otoczeniu stawia na głowie całą wiedzę o ekologii bakterii. Żyjący samotnie gatunek musi sam uzyskiwać wszystko, czego potrzebuje, mając do dyspozycji tylko związki nieorganiczne. Nawet ekosystemy wokół gorących podmorskich źródeł wykorzystują tlen powstały w procesie fotosyntezy.

Tymczasem dla nowo odkrytej bakterii źródłem energii jest rozpad radioaktywny uranu w otaczających skałach. Potrafi uzyskiwać węgiel z rozpuszczonego w wodzie dwutlenku węgla i wiązać azot uwalniający się ze skał. Sama wytwarza wszystkie potrzebne jej aminokwasy.

Chroni też swoje DNA i RNA dzięki mocnym endosporom, a więc pozwala się jej poruszać. Zdaniem naukowców taki organizm mógłby z powodzeniem egzystować pod powierzchnią Marsa czy Enceladusa (najbardziej frapującego, obok Europy, księżycy Saturna).

wg: www.wp.pl

REKORDZISTKA „PIŁA”!

Składająca się z (jak na razie) pięciu filmów seria „Piła”, po niedawnej premierze piątego obrazu cyklu, wspięła się na szczyt najbardziej dochodowych serii grozy w historii kina. Wpływy z jej rozpowszechniania wynoszą dziś ok. 316 mln dolarów.

wg: www.gildia.pl



GRATKA DLA FANÓW HORRORU

W gdańskim „Multikinie” odbył się w dniach 21-25 października festiwal wybranych horrorów ostatnich lat, które w Polsce nie trafiły dotąd ani do kin, ani na DVD.

jpp

CO NA TO „MARSJAŃSKI POTWÓR”?

NASA ostatecznie zatwierdziła lot sondy Mars Science Laboratory, który ma się odbyć jesienią przyszłego roku. Ma ona zrzucić na Czerwoną Planetę kolejny łazik.

jpp

AKTORSKI „MIKOŁAJEK”



We Francji zakończyły się zdjęcia do filmowej (na srebrny oraz szklany ekran) adaptacji kultowej serii nowelek o niesfornym Mikołajku. Książki Goscinnego okazały się prawdziwym francuskim hitem eksportowym: rozeszły się na świecie w ponad 10 milionach egzemplarzy. Ekranizację opowieści blokowali dotąd właściciele praw autorskich. Ustąpili dopiero po uzyskaniu zapewnienia, że film



będzie dokładnym odwzorowaniem literackiego oryginału.

Odtwórca głównej roli (9-letni Maxime Godard) został wybrany spośród setek kandydatów uczestniczących w castingu. Na ekranie, tak jak na rysunkach Sempego, ubrany będzie w szkolny strój z początku lat 60.: ciemną marynarkę, spodenki oraz czerwony krawat.

wg: www.gildia.pl

KOLEJNY TRIUMF „MROCNIEGO RYCERZA”

Aż 12 spośród 21 nagród zgarnął obraz Christophera Nolana „Mroczny Rycerz” podczas rozdania *Scream Awards* – telewizyjnych nagród z dziedziny komiksu oraz filmów F/SF/H. Wyróżniono go m.in. w kategoriach: najlepszy film, najlepszy reżyser, najlepszy sequel, najlepszy bohater, najlepszy zły zły zły oraz najlepsze efekty specjalne. W gronie nagrodzonych znalazły się także „Iron Man” (najlepszy film SF oraz najlepszy aktor – Robert Downey Jr.), „Hellboy: Złota Armia” (najlepszy film fantasy) oraz „Sweeney Todd” (najlepszy horror i najlepszy aktor – Johnny Depp). Wśród komiksowych albumów tryumfował „Y: Ostatni z mężczyzn”, najlepszym scenarzystą uznano Granta Morrisona (za album „Batman: Final Crisis”) zaś najlepiej narysowaną historią komiks Gabriela Ba „The Umbrella Academy: Apocalypse Suite”.

wg: www.gildia.pl

ENDEMICZNY GATUNEK W SŁOWIŃSKIM JEZIORZE

Badania DNA ostatecznie potwierdziły, iż sieja żyjąca w jeziorze Łebsko jest całkowicie odrębnym gatunkiem ryby.

jpp



12 KRAJOWE TARGI KSIĄŻKI

...odbyły się w Krakowie; jednym z gości był Jacek Dukaj.

jpp

WSPOMINAJĄC „SEKCJĘ INTELIGENTNEJ DYSKUSJI”

z Arturem Łukasiewiczem („Bazylem”)
rozmawia
Jan Plata-Przechlewski („PiPiDżej”)



JPP: Arturze, tak w ogóle – to bardzo się cieszę, że jesteś znów w GKF-ie! Znamy się w końcu kupę lat i niejedną imprezę czy inicjatywę klubową możemy powspominać (poza tym jesteś przecież jednym z moim poprzedników w rednaczowaniu). Przedstaw się jednak krótko młodszemu Czytelnikom.

AŁ: Cha! Dziękuję za powitanie. A więc krótko: Artur Łukasiewicz, pseudo ogólne i również GKFowe – Bazyl. Lat czterdzieści. Związany z Fandomem Gdańskim, z pewnymi przerwami, od mniej więcej 1985 roku (od drugiej klasy liceum), czyli... ile to już – kurcze – dwadzieścia cztery lata! Zaczynałem jeszcze w Collapsie, jako zwykły członek. Przez moment (1996-98) – jakieś dwa i pół roku – związany byłem z Rasumem i mailingową listą dyskusyjną pl-rec-fantastykai-sf-f, z racji tego, że mieszkałem wtedy w Warszawie. Z wykształcenia informatyk (ale nie praktykujący), dziennikarz, scenarzysta. Obecnie zatrudniony w dużej sieci supermarketowej jako prosty sprzedawca. Rednaczem „Informatorka” byłem przez okres chyba roku – nie pamiętam dokładnie (w starych rocznikach można sprawdzić, kiedy to było). W GKF-ie jako klubie byłem właściwie wszystkim oprócz Prezesa. Wice, Sekretarzem, Szefem klubu lokalnego (tym najdłużej – bo chyba ze trzy lata z okładem). Jestem jednym ze współtwórców klubu Angmar, który powstał w wyniku połączenia się dwóch klubów lokalnych: Galactiki i Gatewaya – tego ostatniego byłem jedynym i „dożywotnim” prezesem (bo od samego początku jego istnienia do samego jego końca). Prezesowałem na początku Angmarowi, póki mnie młodszy nie „zrzucili ze stolca”.

JPP: Prosiłbym też, byś opowiedział nieco więcej o swojej fascynacji fantastyką oraz o swoich początkach w fandomie.

AŁ: Początki? To był czas, kiedy w „Sobótce” – takim programie dla dzieci i młodzieży nadawanym w każdą wolną sobotę – pojawił się „mądry pan”, który nazywał się Parowski i opowiadał o nowej gazecie, która nazywała się „Fantastyka”. Coś na ten temat już wiedziałem. Jakiś rok, może dwa wcześniej wpadła mi do rąk kupiona „na zaś” książka „Podręcznik do języka polskiego dla klasy ósmej”, która miała być w przyszłości moim podręcznikiem do polskiego. Z ciekawości przeczytałem ją od deski do deski. W tym podręczniku było drukowane opowiadanie Lema „Patrol”, z cyklu opowieści o Pilocie Pirxie. Po jego przeczytaniu osiągnąłem coś w rodzaju ekstazy. Po prostu zakochałem się w tego typu literaturze. Umarłem w butach. Oczywiście niejako z marszu zacząłem „czytać” dostępne w bibliotece książki na ten temat. Miałem to szczęście, że oprócz antologii pisarzy sf rumuńskich czy bułgarskich (okropność!!!) udało mi się przeczytać opowiadania Zajdla. I książki Lema. Bardzo urzekły mnie inne opowiadania z Pirsem, jak i „Niezwyciężony” – do którego do dziś od czasu do czasu wracam. Oczywiście pojawiła się „klasyka” – czyli Verne, Wells, Grabiński. Swoje też robiły komiksy publikowane w miesieczniku „Alfa” i „Relaxie” – „Najdłuższa podróż” czy niesamowita „Vahanara”, rysowana przez Polcha. Ale „Fantastyce” nie od razu uwierzyłem. Wszystko przez moją koleżkę z podwórka Mariusza. Razem wymienialiśmy się „Przeglądem Technicznym”, „Młodym Technikiem”, „Relaxami” i temu podobnymi modnymi w tamtych czasach gazetami – i to on pokazał mi w kiosku szósty numer „Fantastyki”. Powiedział, że muszę ją mieć „koniecznie”, bo to rewelacyjna rzecz jest. Więc kupiłem. Miałem szczęście, bo pierwszym, co przeczytałem, była powieść Bułczyłowa „Przełęcz” – i to było to. Zacząłem kupować ją regularnie. To „Fantastyka” od

tej pory zaczęła wytyczać kierunki moich literackich fascynacji. To dzięki niej poznałem space operę, horror, fantasy, komiks; dzięki niej poznałem największych pisarzy sf – i jej radami się kierowałem szukając książek. A z tym było wtedy krucho. Przeczytanie Tolkiena graniczyło z cudem. Musiałem zapisać się w „kolejkę” – i dopiero po pół roku otrzymałem pierwszy tom „Władcy”; na kolejny czekałem następnie dwa miesiące, a ostatni to mi ktoś ze znajomych mojej mamy pożyczył z własnej biblioteki. Oczywiście pod groźbą i karą, że absolutnie nie zniszczę, nie pobrudzę i temu podobne.

To Mariusz zaciągnął mnie na bardzo długą wyprawę do Gdyni Chyloni do klubu osiedlowego „Remus”. Tam mieścił się należący wtedy do PSMF klub Collaps. Adres dostał od kogoś, którego prywatny adres był adresem kontaktowym publikowanym w „Fantastyce”. Mimo wszystko jakoś w klubie się nie zadomowiłem. Pojawilem się raz, drugi – a potem mi przeszło. Jakiś niewielki czas później w liceum, do którego chodziłem, kolega z młodszego rocznika, Rafał Fabrycki, chciał założyć klub fantastyki – i to właśnie dzięki niemu i klubikowi Venus niejako znów „wróciłem” do Collapsa. Opowieść o Venus to insza historia, musiałbym rozpisac to na wiele głosów i osób, wiec ten etap przemilczę. Klub się z resztą szybko rozpadł. To był czas, kiedy szefem Collapsa był Jacek Stachura, to on podpisywał moją deklarację członkowską. Pamiętam, że tego dnia, kiedy się zapisywałem, pojawił się pierwszy numer „Clapsa”; do dziś mam na nim zapisany numer telefonu do ówczesnego Prezesa (vice- Papier, a Irena Gwozdecka – skarbnik). Na spotkania to przychodziło coś ze stu ludzi – bez mała. Zaczynało się od szturm na księgarnię, w której można było kupić klubówki, magazyny wydawane przez inne kluby – bardzo fajny był wydawany przez poznańską „Orbitę” „Kwazar”, pierwsze jeszcze klubowe „Feniksy” i „Clapsa” oczywiście, który wtedy wychodził bardzo regularnie. Pamiętam też, iż w tym czasie w ręce wpadł mi pierwszy tomik „Wampiars Wars” – i kiedy go przeczytałem, to pomyślałem sobie: kurcze, co za „pogięty” gościu!!! Ten autor. Wtedy jeszcze się nie znaliśmy.

Po ataku na sklepik następował atak na krzesła w dużej sali – ważne było jak najbliższe miejsce przy telewizorze i magnetowidzie; było to związane oczywiście z pokazem filmu na wideo, który był kieszka kopią źle przetłumaczoną (najczęściej z niemieckim dubbingiem, na który nałożony był mamroczący głos polskiego lektora). Ale liczyło się to, że można było zobaczyć „nowości” albo filmy, których absolutnie wtedy w polskich kinach oglądać nie było można. Choćby cały cykl bondowski na przykład.

W klubie się gadało, nawiązywało „przyjaźnie”, samemu próbowało coś z robić. Altruizm i bezinteresowność były powszechne. Bo jak komuś się udało kupić kilka egzemplarzy książki w księgarni, to sprzedawano je po cenie zakupu, a nie po cenie „bazarowej” – która osiągała niebotyczne wysokości z racji tego, że bardzo trudno było cokolwiek kupić normalnie (a nie „spod lady”).

Wtedy też po raz pierwszy zadebiutowałem na łamach „Clapsa” z krótkim Short Stories – był to 8 numer „Clapsa”, opowiadanko „Widziałem...”

Po dwóch latach nastął czas matury i wtedy w naturalny sposób przerwałem swoją „działalność” w Collapsie. Ważniejsze były egzaminy. Udało mi się jeszcze tylko załapać się jeszcze na zjazd założycielski GKF-u. Który powstał w wyniku połączenia się trzech klubów: Hydrusa, Collapsu i Galactiki.

W 1988 roku – w listopadzie albo październiku, nie pamiętam dokładnie – na słupie ogłoszeniowym na pętli autobusowej w Oliwie natknąłem się na plakat informujący o spotkaniu założycielskim klubu fantastyki. Miało to miejsce w 5 liceum Ogólnokształcącym w Oliwie. Poszedłem niejako z „ciekawości”. Na spotkaniu organizowanym przez licealistów, a konkretnie przez Piotra Wojysława, gościem był – Krzysio Papierkowski. Ponieważ dość swobodnie konwersowaliśmy – z sali padła propozycja, żebym to ja miał zostać „prezsem klubu”. No co nieopatrnie się zgodziłem. Tak oto pojawił się „Gateway”. Szkoła oczywiście tylko „utrudniała” nam spotkania (a to sala była zajęta, a to magnetowid – wtedy podstawa działalności każdego klubu – oddany do remontu). Jakoś wytrzymałmy do wakacji i się przenieśliśmy do Klubu

Osiadłego na Zaspie. Następne dwa lata – to były „złote dni” Gatewaya. Mieliliśmy tam „cieplarniane” warunki. Sobota, magnetowid do dyspozycji, sale komputerową – mogliśmy robić, co chcieliśmy. Gadaliśmy, spotykaliśmy się prywatnie. Zorganizowaliśmy chyba ze trzy albo cztery imprezy dla mieszkańców Zaspy, które cieszyły się sporym zainteresowaniem. Niestety, do klubu na Zaspie zapukała nieubłagana rzeczywistość w postaci dość zaporowego czynszu – i z żalem musieliśmy się pożegnać z gościnną dzielnicą.

Po zjednoczeniu klubów Galactica i Gateway (i powstaniu Angmaru) – działałem na różnych klubowych stanowiskach. Starałem się aktywnie uczestniczyć w życiu klubu. Nie zawsze to wychodziło, więc często, z braku czasu, musiałem „zawieszać” swoje obowiązki. Najmilej jednak wspominam redagowanie „Informatora”. Starałem się poszerzyć działalność klubu nie tylko poprzez czystą konsumpcję dóbr zgromadzonych w klubie, ale zorganizowałem w klubie sekcję dyskusyjną na różne tematy dotyczące fantastyki, która przez kilka miesięcy dawała sobie jakoś radę. Rozmawialiśmy o historii klubu, książkach, filmach. Niestety, po jakimś czasie „umarła ona śmiercią naturalną”. Tak bywa... Gdy dziś słyszę o potrzebie rozmowy i kontaktu między ludźmi, mogę się jedynie uśmiechać pod nosem. Nic w przyrodzie nie ginie i stary pomysł sekcji dyskusyjnej znów odżywa.

Mile wspominałem też mój wyjazd na Woldcon–Eurocon do Glasgow w Szkocji. Wtedy zrozumiałem, jak wiele różnic dzieli Polski Fandom, a Fandom w Europie i na świecie. Jak wiele dziedzin jest jeszcze zupełnie „nie odkrytych”.

JPP: Gdy już wrócisz na stare śmieci – jakie zauważasz podobieństwa, jakie różnice, co Cię mile zaskoczyło, a co rozczarowało?

AŁ: Zaskoczyło mile? No cóż – to, że parę osób wciąż jeszcze tu jest i że wciąż klub jako taki istnieje. Z rozczarowań – no cóż, tu znalazłaby się dość spora lista. Zaczniemy od tego, że właściwie nic się nie dzieje w klubie. Na środowowe spotkania przychodzi kilka osób, które zajmują się wszystkim, tylko nie działalnością klubową. Pamiętam spotkania klubowe w latach dziewięćdziesiątych – sala pękała w szwach, żyło „życie literackie” i towarzyskie. Każdy albo coś pisał, albo pomagał w redagowaniu, albo zamierzał właśnie organizować imprezę. Po prostu chciało się być w klubie. Dzisiaj to znikło. Czyżby nikt z obecnych członków klubu nie czuł potrzeby by zebrać się do kupy i coś wspólnie wydać? Gdzie ci piszący, którzy kiedyś przysyłali do klubu swoje opowiadania, gdzie ci rysujący, którzy debiutowali na łamach naszych wydawnictw? Czyżby światem rządził pieniądź? Nie wierzę, że nie stać klubu na wydanie jakiegokolwiek, choćby marnego zbioru fanowskich tekstów. Zamiast marnować te pieniądze na alkoholowe libacje, o których już zdażyłem usłyszeć legendy – zebrać do kupy towarzystwo i zrobić porządny internetowy serwis o GKF-ie? Podobno takiej sytuacji winien jest powszechny dostęp do dóbr. Dziś już nie trzeba walczyć o książkę, film, komiks, podręcznik do gier. Nie istnieje więc potrzeba wspólnego spotkania się i rozmowy o naszej pasji, jaką jest bez wątpienia fantastyka. Trzeba się więc głęboko zastanowić nad tym, jakie – jako klub – możemy znaleźć wyjście z tej sytuacji. I to nie za jakiś czas, tylko teraz dziś, bo sytuacja nie wydaje mi się zbyt „różowa”.

Dziwi mnie to, że GKF w ogóle zaprzestał reklamowania się; kiedyś wisiły plakaty na mieście – w szkołach średnich i wyższych - i siłą rzeczy ludzie się zjawiali w klubie. Dziwi mnie to, że największy klub „Angmar” właściwie nic nie robi. Prezesa klubu poznałem dopiero podczas zebrania walnego – na które z resztą – nomen omen – przyszło jedenaście osób z pięćdziesięciu paru (o czaszy, o obyczajach!). Wstyd mi, bo sam ten klub kiedyś zakładałem. Organizowanie raz na jakiś czas „Nocki Angmarowskiej”, na którą przychodzi kilkanaście osób, uważam za pójście na łatwiznę. W dodatku – absolutne ukierunkowanie fantastyki tylko na gry automatycznie „wyklucza” ze społeczności kogoś takiego jak ja, który gry mam w „głębokim poszanowaniu”. Jakby nie było alternatywy dla takich osób. I jakoś nie widzę nikogo, kto by się tym uczciwie zajął. W końcu mnie to wkurzyło. Przez pół roku siedziałem cicho i obserwowałem klub. Teraz postanowiłem to zmienić.

JPP: Wystąpiłeś z ciekawą inicjatywą blogerską. Ale czytanie blogów – to akurat ten element szerokiej oferty internetu, który jakoś zupełnie mnie nie wciągnął. Najlepiej więc będzie, gdy Ty, jako autor, przybliżysz czytelnikom „Informatora” swój pomysł.

AŁ: Klasyczny blog – to coś w rodzaju pamiętnika, bardzo osobistego. Pisanego na różne tematy. Są blogi muzyczne, literackie, filmowe, zajmujące się techniką, gadżetami. Są specyficzne „fotoblogi” – gdzie, zamiast pisać, autorzy zamieszczają zdjęcia. Specyfika blogu polega też na tym, że można owe wynurzenia komentować. I może to zrobić każdy, kto tylko będzie chciał. Zakłada nawet zupełną anonimowość w tych sprawach. Osoba pisząca ma prawo jednak redagować czy usuwać komentarze nie na temat, złośliwe i obraźliwe. Mój blog jest poświęcony GKF-owi i problemom związanym z GKF-em, a także fantastyce jako takiej. Wydarzeniom z życia fandomu gdańskiego. Jestem również otwarty na całą Polskę: informacje o spotkaniach autorskich, wydarzenia z życia innych klubów w Polsce – zapraszam do współpracy.

Mój blog jest pewnym wyrazem sprzeciwu. Nie podoba mi się to, co się dzieje w GKF-ie – i o tym piszę i pisać będę; czasem nawet trochę „ostrzej”, niżli zrobiłbym to na łamach oficjalnych. Blog ten ma również za zadanie skupić najbardziej aktywnych na dyskusji. Na wzbudzeniu aktywności w szeregach klubowiczów. Bardzo popieram inicjatywę spotykania się w knajpie – bo uważam, że w ten sposób rodzi się „międzyklubowa” płaszczyzna współpracy, która jest szalenie dzisiaj potrzebna. Dalsze takie działanie jak do tej pory może jedynie spowodować powolny zjazd po równi pochyłej, a w konsekwencji doprowadzić do całkowitego upadku klubu. Tak więc nie tylko nie doczekamy kiedyś setnej rocznicy istnienia klubu, ale nawet – być może pięćdziesiątej. A nawet wcześniej – wszystko zależy od tego, jak długo będzie działał Krzysztof Papierkowski, który – w mojej opinii – jest naprawdę jednoosobowym „zarządem klubu”; i to raczej z konieczności, a nie z przysługujących mu praw. Po prostu nie ma nikogo na tyle silnego, by zdjąć z barków Krzysztofa ten ciężar. Inną sprawą jest to, czy on sam tego chce. Wiele Krzysztofowi zawdzięczamy – ale nikt go nie wspomaga w tym, by zając się składkami, szafkami, książkami, inwentaryzacją książek i wszystkimi tego typu, za przepszeniem, „pierdołami”. Ale to sprawa na tekst do bloga, który kiedyś napiszę.

Moje łamy są otwarte dla każdego, każdy członek GKF-u ma prawo napisać, co mu leży na wątrobie, a ja to opublikuję na blogu. Nie zamykam się tylko na własne poglądy. Nie uważam za alfe i omegę w wielu sprawach. Po prostu czekam na inicjatywy innych i pobudzam dyskusję. To chyba tyle.

JPP: Czym jeszcze chciałbyś podzielić się z czytelnikami? Jakies pozafantastyczne zainteresowania? Nieco bliżej na swój temat? Coś, o co nie zapytałem?

AŁ: Nie ukrywam swojej fascynacji historią Gdańska – a zwłaszcza dość specyficzną jej częścią, bo łożami masońskimi istniejącymi w dawnym Gdańsku w latach 1757–1937. Jestem autorem dość dużego opracowania na temat łoż staropruskich w Gdańsku. Aktywnie działam na forach zajmujących się tematyką masońską. Sam zresztą masonem nie jestem – interesuje mnie raczej historyczny aspekt tej tajemniczej, istniejącej od 300 lat organizacji.

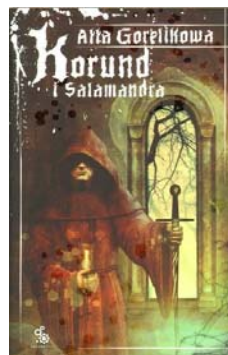
Poza tym muzyka – jestem wręcz maniakiem muzycznym i posiadaczem dużej kolekcji nagrań z lat osiemdziesiątych. Ale nie ograniczam się w fascynacji muzyką tylko do tej dekady. Kocham dobry swing, muzykę lat pięćdziesiątych. Aktywnie zbieram muzykę krajów ościennych dawnego ZSSR i Czechosłowacji. Ostatnio też i DDR-u.

Kocham dobre kino. A ostatnio przepadam za serialami – takimi jak „Dexter”, „Stargate SG1”; nigdy chyba nie wyrosnę z fascynacji „Gwiezdnymi wojnami” czy filmami Ridleya Scotta. Odkryłem też fascynujące kino rosyjskie – zwłaszcza to, które pojawiło się już po upadku ZSRR (prawie kompletnie w Polsce nie znane). Kiedyś jednak – przynajmniej ze smutkiem – filmy zjadały mi znacznie więcej czasu.

JPP: Dziękuję Ci za rozmowę – i życzę powodzenia w Twych działaniach!

Wschód i Zachód w Trudnych Czasach

(Ałła Gorelikowa „Korund i salamandra”, Fabryka Słów 2008)



Alle Gorelikowej tak spodobał się projekt okładki polskiego wydania, że pochwaliła się nim przed czytelnikami swojego internetowego bloga. Niestety na tej okładce zabrakło jednego istotnego drobiazgu, a mianowicie napisu „tom I”. Pełna oryginalna nazwa książki nie brzmi bowiem, jak twierdzi wydawca, „Korona”, lecz „Korona, tom I – Korund i salamandra”. Istnieją trzy kolejne tomy cyklu (nie licząc dodatkowego opowiadania-legendy z tego samego świata „Wierność i honor”), w których kontynuowana jest opowieść o losach królestwa Targali. „Korund...” to właściwie zaledwie początek historii, zawiązanie wątków, zapoznanie czytelnika z powieściowym światem i bohaterami. Tak też należy ją odbierać, bowiem lektura ponad 350 stron pozostawia wrażenie niedosytu, daremnego oczekiwania na przyspieszenie i „zagęszczenie” akcji.

Akcja toczy się równolegle w dwóch czasach – terażniejszości narratora, którym jest świeżo upieczony brat zakonny, i odległej przeszłości, na wpół mitycznej epoce zwanej Trudnymi Czasami (choć właściwie rosyjskie określenie *smutnyje wriemiena* oznacza czasy burzliwe, niespokojne). Braciszek Błażej, którego do klasztoru przywiodła bynajmniej nie wiara, a chęć ucieczki przed dotychczasowym życiem, posiada rzadki dar – dotykając przedmiotu widzi obrazy z życia jego kolejnych właścicieli. A że obecny król Targali chce poznać prawdę o Trudnych Czasach, do klasztoru zostają dostarczone stosowne artefakty, które wywołują u Błażeja wizje składające się na drugą (a właściwie pierwszą, bo istotniejszą) warstwę narracji.

Współcześnie braciszka wiedzą tylko jedno: o nastaniu Trudnych Czasów przesądził moment, gdy po przegranej wojnie z państwem Dwunastu Ziemi król Targali oddał zwycięskiemu monarsze swoją córkę za żonę. Zakonnik zaczyna więc śledztwo od tej chwili i, odpowiednio dobierając przedmioty, stopniowo zapełnia „białe plamy” w historii. A że jest z natury ciekawski, nie ogranicza się do śledzenia wątków „zleconych” przez opata i króla, ale zerka też na losy mniej ważnych postaci, z którymi sympatyzuje.

Istotną rolę w powieściowej rzeczywistości odgrywają sprawy duchowe. Rozpowszechniona jest religia, tylko pytanie: jaka? Klasztory, opaci, bracia zakonnicy, Pan Bóg (jeden i dużymi literami), święci, nabożeństwa, modlitwy, posty i pokuty – wszystko to składa się na obraz na tyle znajomy, że scena, w której przeor zakonu uprawia magię, jawi się jako coś kompletnie nie pasującego do całości. Ale chyba taka „super-ekumeniczna” religia bardziej mi się podoba... Magiczne zaklęcia i wszelkiego rodzaju amulety to podstawa poczucia bezpieczeństwa i „wspomaganie” bohaterów w najróżniejszych opresjach. Czyli „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”, choć w tym przypadku nie powiedziane, czyja świeczka dłuższa...

Zaintrygowała mnie mocno kwestia imion postaci. W polskim przekładzie bohaterowie noszą imiona polskie i rosyjskie, co nie ma żadnego uzasadnienia w powieściowych realiach. Sięgnęłam więc do oryginału (w sieci są dostępne 4 pierwsze rozdziały tego tomu) i sprawa się wyjaśniła. Jeśli chodzi o ścisłość, nie tylko sprawa imion, ale i szerszy kontekst „polityczny” powieści. Imiona rosyjskie i ukraińskie noszą

bowiem wyłącznie obywatele państwa Dwunastu Ziem, położonego na wschód od Targali, zaś z przeciwległego krańca sąsiadującego z terenami noszącymi miana Ordy i Kalifatu. Państwo to jest nastawione pokojowo, a jego władca król Andrij – łagodny, liberalny i ogólnie oświecony. Jego przeciwnictwem jest prymitywny i okrutny król Targali – Henri (rosyjska pisownia sugeruje wymowę francuską), którego córka nosi imię Margota. Są tam też: Augier (w polskiej wersji Gustaw), Serge, John, Karel, Nico, Vitas... Słowem – cały zgnili Zachód. Jest też oddana przyjaciółka Margoty – Julia, która zdaje się być Polką, a w każdym razie córką „pana” (tak w oryginale) Gotwiańskiego, krnąbrnego wasala, zniszczonego przez mściwego władcę.

Trudne Czasy nie były jednakże okresem wojny Wschodu z Zachodem, lecz ludzi z „podziemnymi nieludźmi” czyli gnomami. Czemu wojna wybuchła – dokładnie nie wiadomo, jednakże winę ponosi król Targali, który nie chciał dogadać się z gnomami „po dobremu”. W jakiej sprawie – znowu nie wiadomo, podobno miała tu coś do powiedzenia pewna wyrocznia gnomów, wiążąca międzyrasowy pokój z osobą księcia Karela – syna Henri’ego. Ale o co dokładnie chodziło – ponownie nie wiadomo... Ciekawe w którym tomie zagadki się wyjaśnią i czy Fabryka Słów da polskim czytelnikom szansę zaspokojenia tej ciekawości?

KGK

PÓLKA Z DVD (1)

MGLISTY PEJZAŻ Z POTWORAMI W TLE



Powiada się, że Stephen King ma szczęście do filmowych adaptacji. Myślę raczej, że zasługa leży po stronie tekstów „króla horroru”, które nie dość, że są atrakcyjne – to wyglądają prawie jak gotowe scenariusze. Nie inaczej jest z ostatnią ekranizacją, której została poddana minipowieść *Mgła* z 1985 r. Reżyser Frank Darabont, mający za sobą dwie udane adaptacje Kinga (*Skazani na Shawshank* i *Zielona mila*) nakręcił film w zasadzie (mimo pewnych różnic) bardzo wierny powieści; co więcej: film powalający widza na obie łopatki. Ciekawe jest to, że największe wrażenie robi zakończenie, w którym reżyser całkowicie zdystansował się od oryginału. Jest to najokrutniejszy „happy end”, jaki w życiu widziałem, a jeżeli ktoś myśli, że jest to sprzeczność sama w sobie, niech po prostu obejrzy film, bo warto.

Założenia fabularne powieści i filmu są bardzo proste: wojsko otwiera drzwi do równoległego świata, przez które przedostaje się do nas tytułowa mgła oraz zamieszkująca ją fauna, agresywna i krwiożercza. Jak zwykle u Kinga, jest to dobry pretekst do pokazania różnorodności zachowań i postaw ludzi, w tym wypadku gromadki obłądzonej w supermarketce. Jak zauważa główny bohater powieści, David Drayton: ilu ludzi – tyle postaw. Od bierności do chęci działania, od racjonalnego myślenia poprzez głośne zaprzeczanie do fanatyzmu, i tak dalej. Szczególnie wyrazista i denerwująca jest postać pani Carmody, samozwańczego proroka i głosicielki Apokalipsy, która od słowa „pokuta” przechodzi płynnie do słów „ofiara” i „krew”, a co najgorsze – zdobywa coraz liczniejszych „wyznawców”. W książce postać ta jest dobrze wyważonym oszołomem, natomiast w filmie wydaje się nieco przeszarżowana. Oglądając jej poczynania zastanawiałem się, czy naprawdę są tacy ludzie, lecz widząc przecież, co się dzieje na świecie, musiałem ze smutkiem przyznać, że tak. Wymowa filmu jest pesymistyczna jeszcze pod innym względem, gdyż ukazuje daremność działania jako strategii przeżycia – bierność sprawdza się w nim znacznie lepiej. Inaczej powieść – daje promyk nadziei aktywnym, na pozostałych opuszczając kurtynę niewiadomego.

Powróćmy jednak, jak mawiają Francuzi, do naszych potworów. Wzorowane na przerośniętej ziemskiej faunie, mimo to są różnorodne i tajemnicze, gdy wylaniają się z gęstej mgły, aby pożreć kolejnego nieszczęśnika. Pierwszy okaz, który widzimy dokładnie, jest czymś w rodzaju półmetrowego owada i nie wygląda zbyt realistycznie. Ale oto, o dziwo, w książce na stronach 111-112 można przeczytać, co następuje:

Przypominało któreś z pomniejszych stworzeń uwiecznionych na przerażających malowidłach Boscha, lecz równocześnie było w nim coś nieodparcie zabawnego, ponieważ wyglądało po trosze jak plastikowe albo gumowe straszdyło, które za parę dolarów można kupić w sklepie ze śmiesznymi rzeczami, żeby napędzić stracha przyjaciół (...)

Nie pozostaje więc nic innego, jak pochylić z pokorą głowę. Dalej jest już tylko lepiej. Kulminację stanowi kolos jakby żywcem wzięty z Lovecrafta, który pod koniec filmu (i powieści) majestatycznie przekracza szosę. Jeśli dodamy do tego wspaniałą, nastrojową muzykę, mamy Apokalipsę jak się patrzy, i to bez wątpliwej jakości udziału pani Carmody. Gorąco polecam!

Andrzej Prószyński

P.S. Oglądając *Mgłę* miałem wrażenie, że przypomina ona (mimo wyraźnej różnicy nastroju) film *Maksymalne przyspieszenie (Maximum Overdrive)*, wyreżyserowany przez samego Kinga w 1986 r. Zaintrygowany, obejrzałem wspomniany film ponownie – aby stwierdzić, że myłę się kompletnie. Teraz, kiedy piszę te słowa, pierwotne wrażenie powróciło. Jak więc nie przyznać racji Dukajowi, że „przeszłość nie istnieje”? Stephen King, *Mgła (The Mist)* z tomu *Szkieletowa załoga*, Prószyński i S-ka, 2008 (*Skeleton Crew*, 1985), tłum. Arkadiusz Nakoniecznik

MGŁA (THE MIST), 2007

Gatunek: horror SF

Scenariusz i reżyseria: FRANK DARABONT

Zdjęcia: ROHN SCHMIDT

Potwory namalował: BERNIE WRIGHTSON

Muzyka: MARK ISHAM

Obsada: THOMAS JANE, MARCIA GAY HARDEN,

LAURIE HOLDEN, ANDRE BRAUGHER

Data premiery DVD: 2008-09-29

Czas trwania: 120 min.



Impresje filmowe (1)

Ostatnimi czasy nie mogę się zebrać, by napisać długą, porządną recenzję. Ponieważ jednak filmów oglądam sporo, postanowiłem podzielić się przynajmniej krótszymi impresjami.

Gwiazdne Wojny: Wojny klonów to pilot serialu animowanego, wyświetlanego od niedawna na kanale Cartoon Network. Fabuła rozgrywa się ma pomiędzy drugim a trzecim epizodem aktorskiej serii. Anakin Skywalker, jeszcze bez przydomku „lord Hełmuś”, dostaje własny przydział padawana w postaci młodzieńczej Ahsoki Tano. Wiążą się z tym przygody, ponieważ trwa właśnie rywalizacja republiki (z prowadzącym własną grę kanclerzem Palpatinem i wspierającym go hrabią Dooku) i separatystów o kontrolę nad zewnętrznym pierścieniem galaktyki. By to osiągnąć, należy zyskać względy Jabby the Hutta, czemu na przeszkodzie staje porwanie Jabbowego synka (Dooku usiłuje go przekonać, że odpowiedzialni są Jedi i w ten sposób odwieść go od paktu z Republiką). Postać Ahsoki jest dodana wyraźnie na siłę (fabuła niczego by bez niej straciła), a jej dialogi z Anakinem wskazują na nastawienie na młodszego nieco widza. Na szczęście po pierwszym kwadransie, w którym obie strony konfliktu naporządzają się z blasterów w regularnej bitwie, , na pierwszy

plan coraz bardziej wysuwa się pomysłowa intryga. W sumie jest to sympatyczny film, jednak miłośnicy mrocznych klimatów à la *Imperium kontratakują* mogą go sobie darować.

Babylon AD to film, w którym świetne, dynamiczne zdjęcia, doskonały, mroczny klimat i gwiazdorska obsada (Vin Diesel, Michelle Yeoh, Gérard Depardieu) nie rekompensują niedostatków fabuły. Początek robi wrażenie i intryguje: zaczyna się od postsowieckiego blokowiska, w którym nikogo nie dziwi wszechobecna broń i chaos, a niejaki Toorop (Diesel), zaraz po tym, gdy antyterrorysty wchodzą do jego mieszkania przez gruzy zniszczonej wybuchem ściany, dostaje zlecenie przeszmuglowania tajemniczej dziewczyny do Ameryki. Po czymś takim można się spodziewać spektakularnej przygody, ale jeśli by kto na nią czekał, nie doczeka się. Owszem, ogląda się to, ale gdy w końcu przychodzi do ostatecznego rozwiązania zagadki, pozostaje pytanie: „Ee? Co? Że niby o co chodzi?” W skrócie: rozczarowanie po widowiskowym początku.

Eagle Eye gra na aktualnym w USA strachu przed inwigilacją w imię walki z terroryzmem. I gra bardzo zreżymie. Dwoje ludzi zostaje zmuszonych do wykonywania rozkazów nieznanemu, która widzi każdy ich ruch i słyszy każde słowo. Rzec przybiera coraz bardziej terrorystyczny charakter, nim w końcu okazuje się, kto tu jest naprawdę terrorystą i co to ma wspólnego ze zbombardowaniem afgańskiej wioski w pierwszej scenie filmu. Okazuje się, nawiasem mówiąc, trochę za wcześnie, po czym pozostaje śledzić sensacyjną fabułę. W skrócie, jest to dobry film akcji. I tylko aktorów zabrakło nieco lepszych.

W następnym odcinku: *Indiana Jones i królestwo kryształowej czaszki*, *Quantum of Solace* i chiński *Hero*.

Michał Szklarski



DOBRY DIABEŁ vs. ZŁY ELF

Tytuł: Hellboy II: The Golden Army

Produkcja: USA, 2008

Gatunek: fantastycznonaukowy

Dyrekcja: Kolesz od Hobbita

Za udział wzięli: Ron Perlman, kilkakrotnie Doug Jones, John Hurt, laska co się całowała z Buffy

O co chodzi: Elfy nie są tym, czym się wydają

Jakie to jest: Co tu dużo gadać. Pierwsza część „Hellboya” walnęła mnie z nienacką młotkiem (pięciokilowym takim) w goły mózg: tizerek w stylu Wolfensteina, nazi cyborg, cthulhoidalne stwory. Nie znając (jak zwykle) komiksu – byłem zaskoczony na megaplusa. Film oczywiście miał też pewne istotne słabości (takie jak tempo akcji, czy ciut za bardzo przerysowane postacie), ale tym niemniej podobał mi się.

Na pierwszy rzut oka dwójka pozbawiona jest wszystkich nazi-zalet jedyńki, dziedzicząc przy tym jej wady. Zamiast nakręcanych Adolmenów i Rasputina – mamy tu bowiem enemy z zupełnie innej bajki: pradawną rasę elfów, która żyje wśród nas w miejscach powszechnie uważanych za obelżywe. Sama ta rasa tak właściwie nie jest wrogiem; jest nim natomiast



elficki książę Nuada, który wbrew wszystkim postanawia odpalić uśpioną od dawna tytułową Złotą Armię i zrobić ze świata ludzi porządek raz a dobrze. To prowokuje ekipę BPRD do detektywistycznej przygody naznaczonej bijatykami, strzelaninami z użyciem dużych gunów, paleniem cygar i wzniecaniem pożarów. Na szczęście ta fabuła stanowi o tym, że film jednak daje radę – ale o tym zaraz...



Jak to często bywa – „pierwsza część wprowadza świat i bohaterów, więc dopiero w drugiej mogliśmy sobie pozwolić”. No, i del Toro sobie pozwala popchnąć akcję i bohaterów w różne ciekawe miejsca.

Po pierwsze: film jest wypełniony humorem – znacznie bardziej niż jedynka (a co ważniejsze – znacznie lepiej!). Są momenty, gdzie z ekranu gagi leją się bez opamiętania, ale na szczęście nigdy nie ma tu przeginki ani pierdzenia.

Po drugie (najważniejsze): dzięki właśnie elfickiej fabule „Hellboy 2” totalnie rozwija skrzydła designersko.

Zanim jednak opiszę plusy, zacznę od minusów. Jednym z głównych mankamentów HB2 jest przesadna (w porównaniu z jedynką) jedność miejsca akcji; inaczej mówiąc: jest mało jeżdżenia. W poprzedniej części mieliśmy Szkocję, Mołdawię, Kacapowo... Tutaj 99% akcji dzieje się po prostu w Nowym Jorku, a z tego połowa na jednej budapesztańskiej ulicy. Ale to właśnie zostaje zrekompensowane dużą dawką świata zaczarowanego (że się tak wyrażę). Zwiedzamy dość kultowy Targ Trolli napchany stworami przywodzącymi na myśl oldskulowy pałac Jabby, oglądamy także budowle elfów oraz tytułową Złotą Armie. Wyraźnie widać, że del Toro miał tu już lepsze możliwości sypania monetą i pojechał naprawdę grubo. Mimo że sety są dość kameralne (lub ewidentnie greenscreenowe) i „Hobbit” to żaden nie jest – to jednak dość dobrze udało mu się oddać klimat zaczarowanego półświatka. Stwory wahają się od standardowych (Wink, gobliny), przez wydumane (koleś-guz rosnący na innym) i labiryntofaunowskie (anioł z oczami na skrzydłach), do fajnie pomysłowych (gość z makietą na głowie) – i nawet dość sztampowy design elfów działa zaskakująco dobrze. Wrażenie robi klawe animowane przedstawienie legendy o Złotej Armii i sam mechanoidalny design teźże. Niestety, mniejsze już robi młody Hellboy w retrospekcji - jakoś słabo klei się on z tym dorosłym...

I przy okazji – pierwsza część „Hellboya” nurzała się w klimacie wolfensteinowo-lovecraftowskim; natomiast ten odcinek zalatuje na 100 km chińskimi bajkami Miyazakiego – mackowaty bóg drzew czy tooth fairies przywodzą je na myśl jako żywo.

Po trzecie: trochę do pieca dorzucają też same postacie – utopijny związek Hellboya z Liz ociera się o rafy codziennego życia, a sam Hellboy pragnie sławy, która jest niewskazana ze względu na tajny charakter jego miejsca zatrudnienia. Za to Liz jest już raczej postacią znaną z kreskówek – całkiem panującą nad swoimi piro-zdolnościami i skłoną wykorzystywać je ile wlezie. Żeby było ciekawiej – na ekranie nie uświadczymy głównej postaci z jedynki, czyli agenta Myersa; zamiast niego pojawia się natomiast kultowy i ektoplazmatyczny Johann Krauss obcujący z innymi dzięki specjalnemu kombinezonowi. Muszę oznajmić, że jak na postać grającą niemal wyłącznie sztampowo quasi-niemieckim akcentem, kolo jest całkiem zabawny. Inną nową postacią jest Nuala – bliźniacza siostra wrażego Nuady, która nie przeszła na



stronę mroku. Jej ciekawość polega głównie na tym, że staje się obiektem zainteresowania Abe Sapiena, który w tym odcinku z kolei wreszcie staje się też normalną postacią, a nie tylko fajnym kolesiem z tła. Szkoda tylko, że dziwnie zapomniał o swoich zdolnościach odczytywania zdarzeń z przedmiotów – tutaj by mu się one ewidentnie parę razy przydały.

Sam nikczemny główny wróg Nuada, mimo megaoklepanych założeń, jest jednym z lepszych złych, jakich ostatnio widziałem w filmach. Kolesi jest autentycznie groźny (aż do grubej przesady, ale nie szkodzi), mocno zmotywowany i gotowy na wszystko. No, i jak wnet zobaczymy, nawet dla Hellboya jest godnym przeciwnikiem – nie tylko fizycznie, ale też w przekonujący sposób potrafi mu zamieszczać psychicznie w mózgu. A do tego matrixowo skacze i macha mieczem – czego chcieć więcej?

Oprócz tych upgrade'ów mamy nadal szereg tych samych motywów: BPRD nadal jest pełne bezużytecznych agentów w garniturach, skazanych na śmierć właściwie już w chwili pojawienia się na ekranie. Biuro nadal ma śmiesznego szefa Manninga, który od czasu jedyńki – z buca zamienił się w kompletnego kretyna. Mamy też ponownie wrogów, którzy mimo intensywnych i monotonnych mordów na nich, nie dają się zabić. Znowu wałkowana jest też ponadczasowa rola Hellboya, bo – jak się okazuje – po jego pierwszym przeznaczeniu przedstawionym w HB1, nadal czeka na niego w kolejce szereg innych przeznaczeń. Żaden film del Tora nie może się też rzecz jasna obejść bez dużej dawki kanałów, podziemi, ruin kanałów i ruin podziemi. Ponownie trafia się też kilka bardzo pomysłowo i adekwatnie umieszczonych piosenek.

Jak we wszystkich filmach Gullermo – akcja w „Hellboyu” jest poprowadzona nader spokojnie. Nawet epiczne bitwy i bójki kręcone są całkiem leniwie, a kombatanci poruszają się z pełnym spokojem – bez żadnej sieki montażowej czy matrixowania. Nie jestem pewien, czy to świadomy zabieg reżysera czy po prostu inaczej nie umie; jeśli jednak to drugie – to mogą wystąpić poważne problemy przy realizacji „Hobbista”, który w paru momentach będzie potrzebować w końcu mocnego kopa. Wyjątek w „Hellboyu” stanowi walka finałowa, która faktycznie jest skręcona z niezłą epą i robi dość współczesne wrażenie.

Jak więc widać – „HB2” to kolejny film z taśmy del Toro: super scenograficznie, poprawny postaciowo, kameralny reżysersko. Czasami odnosimy wrażenie, że reżyser jest czymś ograniczany – budżetem, czasem, własną wyobraźnią? Niektóre sceny kończą się za szybko, niektóre dialogi mają jakby o jedną kwestię za mało... Na koniec też wydaje nam się, że mimo wszystkich traumatycznych przeżyć postaci są na dokładnie tym samym etapie, co na początku filmu... Choć może to właśnie dzięki tej „kameralności” film nie wygląda jak wyswieconą wysokobudżetowa produkcja dla plebsu.

Ocena (1-5):

Humor: 5

Muza: 4

Zaczarowane światy: 4

Fajność: 5

Cytat:

- Krauss, agent. There's a double „s”
- SS. Right, right!



*Commander John J. Adams
[www.zakazanaplaneta.pl]*

[tytuł od redakcji INFO]



Człowiek wybuchający w próżni - czyli efekciarze z Hollywood

W wielu hollywoodzkich produkcjach SF – ludzie i obcy nastawieni są na kontakt z próżnią kosmiczną. Poza kilkoma wartymi uwagi przypadkami zdarzenia takie mają w filmach zazwyczaj skutki bardzo efektowne i... zupełnie nieprawdziwe. Ludzie zamarzają w ciągu ułamków sekundy (vide „Misja na Marsa”), eksplodują („Outland”) albo obcy przeciskani są przez dziurę w kadłubie wielkości znaczka pocztowego („Obcy 4”). Poniżej zapis rozmowy na ten temat odbytej przy pomocy zakazanych praktyk temporalnych.

Hollywoodzki Scenarzysta: Hej, panie doświadczony. Jak to jest? Czy można przeżyć pobyt w próżni kosmicznej bez kombinezonu?

Jurij Gagarin: Huh? A tak, pewnie. Można. Tylko krótko. Z grubsza rzecz biorąc od momentu osiągnięcia próżni ma się jakieś 10 sekund świadomości, potem się odlatuje – i kamraci mają jeszcze jakieś półtorej minuty, żeby pomóc delikwentowi.

HS: Czyli nie rozrywa człowieka na kawałki?

JG: No co ty? Filmów się naoglądałeś? My radzieccy ludzie, tak jak i wy Amerykanie, jesteśmy raczej solidnie zbudowani i byle próżnia nas nie „wybuchnie”. Wiesz, że tak normalnie tutaj to mamy ciśnienie jednej atmosfery? Dobrze. Jednak czegoś was uczą. Zakombinuj tak... nurkowałeś kiedyś z rurką?

HS: Tak, na Karaibach.

JG: Ech, wy Amerykanie to macie dobrze... W każdym razie wiesz, że na 10 metrach pod wodą ciśnienie zwiększa się o jedną atmosferę w stosunku do powierzchni. Różnica jest taka sama, jak między normalnym ciśnieniem a próżnią – tylko że tutaj to działa w drugą stronę. Jak nurkowałeś, to co czułeś?

HS: Czułem jak ścisza mi klatkę piersiową. Nieprzyjemne było, trochę bolało.

JG: Bolało, bo ciśnienie zewnętrzne ściszało powietrze w ciele, czyli głównie płuca. Ich objętość trochę się zmniejszyła. Ale nic poza tym się nie działo, żebra trzymały. Więc w próżni jest tak samo, tylko odwrotnie: gaz w naszych płucach się rozszerza i płuca wraz z klatką piersiową się trochę powiększają. Ale na pewno nie eksplodujesz. Puchniesz też z innego powodu, chociaż wolniej. W twoich bebechach wrze woda, robi się w tobie para wodna i, mówiąc ogólnie, masz parcie na zwieracze. Ogólnie boli jak diabli, chyba że masz na sobie taki ciśnieniowy kombinezon lotniczy jak piloci myśliwców. Wtedy nie puchniesz i mniej boli. Ale jest jedna różnica w stosunku do nurkowania: jakby się ci zdarzyła dekompresja, to pamiętaj żeby nie zatrzymywać oddechu, tylko wypuścić całe powietrze. Chociaż nie jest to naturalny odruch.

HS: Dlaczego?

JG: Widać jesteśmy lepiej przystosowani do bycia ściskanymi niż do rozciągania. Delikatne pęcherzyki w płucach nie wytrzymują rozciągania i pękają, co prowadzi do krwotoku i śmierci. A jak się wypuści powietrze z płuc, to nie ma cię co rozpychać od środka – i jest *haraszo*.

HS: To jak to jest z tym powietrzem?

JG: Jak się wpuści powietrze, to płuca zaczynają działać w drugą stronę niż normalnie. Normalnie tlen z powietrza przenika do krwi, a dwutlenek węgla z krwi do powietrza. Teraz powietrza nie ma – więc i tlen, i dwutlenek węgla są wypompowywane z krwi

w próżnię. Tak się dzieje, aż płuca nie wyschną (o czym za chwilę). Taka beztlenowa krew nadal płynie w tętnicach – bo serce bije – i po jakichś 10 sekundach dociera do mózgu. Wtedy się właśnie odpada. A jak mózg nie ma tlenu przez 90 sekund, to umiera. Ot, i tyle.

HS: No dobrze, więc nie eksplodujemy. Ale co z zamrażaniem? Przecież próżnia ma zero absolutne, czyli 200-cośtam stopni C poniżej zera.

JG: Próżnia – albo raczej prawie próżnia, bo taka jest w kosmosie – jest faktycznie zimna. Ale temperatura to nie wszystko. Weź taką komorę kriogeniczną i saunę. W tej pierwszej jest -100, a w drugiej +100 stopni. A mimo to ludzie tam wchodzi, siedzą i nic im się nie dzieje. A teraz weź ciekły tlen i z drugiej strony wrzącą wodę. Spróbuj do nich wsadzić rękę. Czaisz różnicę?

HS: No, czaję.

JG: To jak odczuwasz temperaturę czy też jak przepływa ciepło – zależy od ośrodka, w którym jesteś. Ciecze przewodzą ciepło dobrze, gazy znacznie gorzej. Próżnia nie przewodzi go wcale, bo nie ma go co przewodzić, poza tymi kilkoma atomami na centymetr sześcienny.

HS: Czyli się nie zamraża?

JG: *Nu!* Przynajmniej nie od razu. Poza przepływem ciepła bezpośrednio do ośrodka – taki niefartowny kosmonauta emituje też promieniowanie podczerwone. To to, co żołnierze widzą w nocy przez noktowizory, a dokładniej termowizory. Ale to promieniowanie unosi energię powoli, tak że zamrażnie się dopiero po kilku godzinach. A do tego czasu już się nie ma czym martwić – tak czy inaczej. Aha: i to wszystko prawda, jak się jest w cieniu.

HS: W cieniu? A na słońcu?

JG: A na słońcu to jest gorąco. Wyobraź sobie słońce w południe na równiku. Parzy, co nie? A teraz pomyśl, że atmosfera odbija i pochłania sporą część energii słońca – powiedzmy 50% w bezchmurny dzień. Więc na orbicie słońce grzeje dwa razy mocniej; co jest nieprzyjemne, ale nie zabójcze. Ale podstawa to, że nic nie chroni nas tam przed promieniami UV i twardszymi, a tych to atmosferę pochłania z 95%. Mówię ci, tam się można nieźle usmarzyć i poparzyć już po kilkunastu sekundach. Nie bez przyczyny wszystkie statki kosmiczne są białe albo metaliczne. Odbijają tak więcej promieni i się nie grzeją.

HS: OK, będę pamiętał, żeby zostać w cieniu. A co jeszcze się dzieje w próżni?

JG: No, po pierwsze przy rozprężaniu się gazu – taki gaz (czyli tutaj powietrze) się ochładza. Czuć to na przykład, gdy się wypuszcza propan-butan z butli. Jest zimny albo wręcz lodowaty, nawet jeśli butla jest na początku ciepła. Dlatego, jak się wypuszcza powietrze z płuc w kosmosie i ono przelatuje przez usta i nos, to je ochładza. Ale nos nie zamraża cały na kość, tylko szron pojawia się na powierzchni skóry – nic groźnego.

Po drugie – w otwartej próżni woda gotuje się w temperaturze ciała. To znaczy, że ślina na wrze ci na języku. Ponoć nieprzyjemne, ale nie boli. Potem znacznie wolniej wrze woda tych rurek w miękkich tkankach, takich jak jelita i inne takie. Ale o tym już mówiliśmy przy puchnięciu. Krew nie wrze, bo naczynia krwionośne są elastyczne i trzymają krew pod ciśnieniem.

HS: To ktoś to sprawdzał z tym językiem?

JG: Umyślnie to nie. Umyślnie to nasi i wasi naukowcy maltretowali szczury, króliki i mały sprawdzając, co im się dzieje w próżni i ile przeżyją. Ale zdarzyły się dwa ciekawe wypadki. Jeden był w '65, jak testowali w NASA kombinezon kosmiczny w komorze próżniowej. Tester konkretnie rozdarł kombinezon. Ale był szkolony i pamiętał, żeby wypuścić powietrze. Po 10 sekundach zemdlął – i ostatnie, co pamiętał, to właśnie ta wrząca ślina. Potem zaczęli szybko wpuszczać powietrze i po kilkunastu minutach gość już był na nogach.

HS: A drugi wypadek?

JG: A drugi wypadek pokazuje, dlaczego się lata w kosmos. Dla adrenaliny. W '91 facet na promie kosmicznym wyszedł w kosmos. Dla skafandrze. W którymś momencie jakiś ostry dźwięk uderzył go w rękawicę pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem. Przebiło rękawicę i skórę, a facet przez chwilę krwawił w otwartą przestrzeń. Ale zaraz przyszło mu skórę i krew zakrzepła. Facet zauważył to dopiero, jak wrócił na pokład. Mówię ci – adrenalina tam jest lepsza, niż na bungee!

HS: To w NASA, a radzieckim programie kosmicznym?

JG: *Da*, był Soyuz 11... ale w Związku Radzieckim nie ma wypadków... czasem są tylko bohaterzy.

HS: Hmm... OK, nie wnikam. Czyli dziury w statku są niegroźne?

JG: Małą dziurę można doraźnie zatkać czymkolwiek. Taka dziura o powierzchni 1 cm², na przykład po mikrometeorycie, jest „w zasadzie niegroźna”. Ze średniego pomieszczenia na statku powietrze będzie uciekało przez nią ładnych kilka minut i będzie tylko lekki zefirek. Dość czasu, żeby dziurę czymś zatkać. Choćby i ręką – przyssie skórę i uszczelni.

HS: Ręką? Czyli nie wyssie nas tak jak tego stwora w „Obcym 4”?

JG: Nie. Tam to twoi kumple scenarzyści musieli już ostre dragi brać.

HS: Czyli ogólnie luz. A jak się robi większa dziura – to jest eksplozywna dekompresja, próżnia i jest cool. Byle tylko trzymać się w cieniu.

JG: No to też nie tak do końca. Eksplozywna dekompresja ma w nazwie „eksplozywna” nie od parady. Jak zrobi się wielka dziura w statku, nie mówiąc już o skafandrze, to jest głośny huk – dlatego eksplozywna. Powietrze ucieka w kilka sekund. Wszystko zaczyna wywiewać, łącznie z tobą – jeśli się nie chwycisz czegoś przymocowanego na stałe. Można dostać czymś twardym w głowę! Na kilka sekund robi się mgła, bo rozrzedzona atmosfera nie może utrzymać wilgoci. W tym momencie zaczyna być mało powietrza, oddychanie niewiele daje. Tu najlepiej wypuścić powietrze zupełnie. Potem mgłę też wywiewa i jest cisza. A ponieważ się do tej pory szamotałeś się itp. – to z twoich teoretycznych 10 sekund świadomości zostało może z 5 albo i mniej. Teraz to albo jesteś szybki lub masz farta i dobrych kolegów, co cię zaraz odratują – albo jesteś martwy. Coś jak ten facet w „Odysei Kosmicznej 2001”. Jesteś w nieważkości, panikujesz i masz tylko kilka sekund przed black-outem i konkretnym spotkaniem z wredną rzeczywistością. Musisz być szybki i twardy jak skała. Albo jak radziecki kosmonauta.

HS: Gulp... Aha; to ja zostanę jednak przy pisaniu scenariuszy i Karaibach.

JG: Ech... szczury ziemskie. A samogon jakiś masz?

Konrad 'Biały' Klepacki



WYPRAWA TRZECIA

3

SZLAKIEM KARCARÓW

17 sierpnia PROWANSJA – LANGWEDOCJA

Z przyjemnością pożegnaliśmy Szuflandię (choć wielu czuło niedosyt Awinionu) i około 9-tej wyruszyliśmy do naszej następnej bazy wypadowej, czyli do Carcassone. Po drodze zbaczamy, aby zobaczyć słynny akwedukt rzymski Pont du Gard, który został zbudowany w latach 26-16 p.n.e. i prowadził wodę ze źródeł w Uzès do Nîmes. Całkowita długość akweduktu wynosiła 50 km. Działał przez ok. 400 lat.

DYGRESJA 5

Akwedukt (łac. aquae ductus, ciąg wodny) – kanał wodociągowy, rurociąg podziemny lub nadziemny, doprowadzający wodę z odległych źródeł do miast, przy wykorzystaniu siły ciężenia ziemskiego (spadek ok. kilkadziesiąt cm na kilometr). Może być umieszczony na arkadach przeprowadzonych nad rzekami lub nierównościami terenu. Akweduktem nazywany jest również most kanału wodnego.

Odcinek akweduktu zwany Pont du Gard to trzypiętrowa arkada o wysokości 49,0 m. Dolna część pełniła rolę mostu przebiegającego nad rzeką Gard. Na górnej umieszczono kanał prowadzący wodę.

Rzeka Gard prawie wyschnięta, jest tylko kilka większych bajerek, w których tapla się nasza młodzież.



Dalej kierujemy się do kilkudziesięcioletniego miasta Beziers. Miasto jest tuż po jakimś festynie i cuchnie moczem. Przechodzimy przez starówkę i zwiedzamy katedrę St. Nazaire. Na nic więcej, w tym upale i smrodzie, nie mamy ochoty.

Ruszamy dalej. Większość uczestników pozbywa się niesmaku przepłukując gardła winem.



Dojeżdżamy do prześlicznego obronnego miasteczka Minerve (obecnie 104 mieszkańców). Położone na ostrodze skalnej, góruje kilkadziesiąt metrów nad dolinami (a właściwie parowami) rzek Cesse i Briant. Dostęp do ostrogi zamykały ongiś potężne umocnienia, z których zachowała się pojedyncza wieża, zwana Świecą.

Obecnie do miasta prowadzi kamienny most. W stylowych uliczkach same sklepy z pamiątkami i winiarnie. Idziemy pod kościółek St. Etienne, gdzie znajduje się słynny wizerunek gołębiczy (symbol Katarów) wycięty w kamieniu.



A dalej jedziemy do bliskiego już Carcassone. Na peryferiach znajduje się nasz hotel, tym razem sieci Balladins. Pokoje są większe niż w Szuflandii!

Tak się złożyło, że nasi kierowcy dostali dwójkę z jednym łóżem małżeńskim (i jedną dużą kołdrą). Zamiast cieszyć się możliwością nowych wrażeń – ostro protestowali! W końcu zgodziłem się na zamianę mojej dwójki (z dwoma łózkami). Tyle lat spiam z Anią w jednym łóżku, że *no problem* (choć: któreś nocy Ania wykorzystała ten układ – mimo, iż skarżyłem się na ból głowy).

Po rozpakowaniu, wszyscy zameldowali się w autobusie i pojechaliśmy zwiedzać Cité Médiévale (Miasto Średniowieczne). Jest wspaniałe! I zupełnie nie przeszkadzał nam fakt, że to tylko XIX-wieczna rekonstrukcja (w dodatku niezbyt wierna – przynajmniej, jeśli chodzi o samo miasto wewnątrz murów).



Przeszliśmy je wszerz i wzdłuż – w plątaninie wąskich uliczek pełnych sklepów, restauracji i pubów (Cité okazało się jedynym miejscem w południowej Francji, gdzie można było zjeść o każdej porze). Byliśmy również na murach i basztach oraz między dwoma liniami murów. Zamek i katedrę odpuściliśmy sobie – zbyt długa kolejka!



Późnym wieczorem przysiedliśmy w jakiejś restauracji i zjedliśmy obiadową kolację. Zupełnym przypadkiem zamówiliśmy *Cassoulet* – bo mi się podobała nazwa. Jak dla mnie: po prostu niebo w gębie!

Po posiłku zeszliśmy w dół do rzeki Laude i poprzez stary most rzymski dotarliśmy do późnośredniowiecznej starówki Carcassonne. Było już po 22-giej. Wszędzie pustki, wszystko zamknięte. Wprosiliśmy się do właśnie zamykanej kafejki, gdzie chwilę posiedzieliśmy przy piwie.

Autobus przyjechał po grupę w umówione miejsce i wróciliśmy do hotelu.

Mimo późnej pory, Ela i Jarek zrobili w swoim pokoju imprezę. Było tłumnio i wesoło! Jacek Komuda występował w kompletnym stroju towarzysza pancernego, a Sapek i ja sączyliśmy dzin. Oczywiście kulturalnie – zapijaliśmy tonikiem.

DYGRESJA 6

Cassoulet – narodowa potrawa langwedocka.

Trzy miasta południa Francji – Castelnaudary, Carcassonne i Tuluza – spierają się o miejsce narodzin *cassoulet*. Castelnaudary ma fory, bo jest ośrodkiem przemysłu ceramicznego, gdzie wyrabia się *cassole* – ceramiczne naczynie do zapiekania, od którego prawdopodobnie danie ma nazwę. Każde z trzech miast utrzymuje, że jedynie jego receptura daje właściwy efekt. Różnice dotyczą mięsnej wkładki*.

Jedynie słuszny, oryginalny przepis na *cassoulet*:

Składniki:

50 dkg fasoli (średni jaś); 25 dkg skórek wieprzowych; 40 dkg surowej szynki, 40 dkg białej kiełbasy; 50 dkg gęsiny, 25 dkg wędzonego boczk; 2 łyżki koncentratu pomidorowego (zamiennie: 2 posiekane pomidory obrane ze skórki)**; 2 ząbki czosnku; 2 cebule; litr rosółu, szklanka białego wina Gallo Family Chardonnay; sól; pieprz.

Sposób wykonania:

Fasolę moczyć 12 godzin w wodzie. Drobnopokrojone skórki wieprzowe lekko posolić i gotować około godziny. Pokrojone na duże kawałki mięso obsmażyć na tłuszczu z drobnopokrojoną cebulą i czosnkiem, dodać kiełbasę, koncentrat pomidorowy i chwilę smażyć. Delikatnie wymieszać z ugotowaną i odcedzoną fasolą, włożyć do żaroodpornego naczynia, zalać rosółem, dodać drobnopokrojony boczek i wino. Zapiekać pod przykryciem w temperaturze 140°C przez 2,5 godziny.

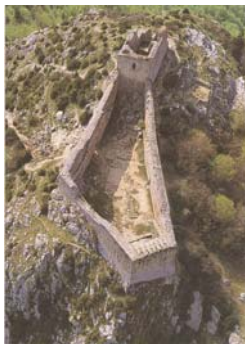
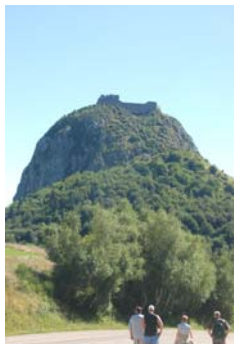
* o zboczeńcach, którzy dodają jagnięcinę nie będziemy w ogóle mówić!

** rodowity Longobardczyk nigdy nie używa pomidorów!



18 sierpnia LANGWEDOCJA

Wreszcie ruszamy zdobywać zamki katarskie. Na pierwszy ogień idzie Montségur (rok oblężenia, 225 spalonych katarów). Po klimatyzowanym autobusie, 40°C na parkingu wali na odlew. Do zamku trzeba się wspinać pod górę kilka kilometrów. Na szczęście do połowy drogi ścieżka przebiega w lesie, ale później istna patelnia. Widok z zamku jest wspaniały – z trzech stron kilkusetmetrowe przepaście, na niebie krążą orły. Gdy zziązani wróciliśmy do autobusu, powitali nas Kowal i Sapek – „свежие как огурцы”. Okazało się, że zamek sobie odpuścili i zeszli na łąkę poniżej parkingu, aby nawiązać stosunki z uroczymi pasterkami, pasącymi stadko owiec. Ktoś tam mruknął, że chodziło im o uroczec owieczki, a nie pasterki.



Kolejny zamek to Puivert. Samochody osobowe podjeżdżają na parking tuż poniżej zamku, ale my musimy się wspinać w upale. Zamek jest częściowo odbudowany – można zwiedzać kilka stylowo umeblowanych sal i kaplicę.

Następny cel to zamek Puilaurens – ostatnia twierdza katarów, zdobyta dopiero w 1255 roku.

Przeszło połowa uczestników ma już na dzisiaj dosyć i pozostaje w miasteczku Quillan. Reszta, z Wojtkiem na czele, jedzie autobusem dalej. Czeka ich jeszcze trudna wspinaczka, ale w nagrodę – przepiękne widoki. Bardzo żałuję, że tam nie byłem!

W Quillan powłóczyliśmy się po mieście, obskoczyliśmy kilka pubów, zrobiliśmy zakupy. Oczywiście, nic konkretnego zjeść się nie dało – wszystkie restauracje serwowały tylko kawę i drinki. Później, na skwerze obok szosy, kilka godzin czekaliśmy na autobus. Niektórzy (ku zgorzeniu miejscowych) przysypiali na ławkach i murkach. Jaka szkoda, że nie mogę zaprezentować zdjęcie Solarycha – istny Lew Belfortu!

Po powrocie do hotelu w Carcassone, idziemy do pobliskiego Geanta na obiadokolację i zakupy. Wieczorem robimy niewielką imprezę w ogródku przy Balladins. Denerwuje ona wielce kierownika hotelu, bo mamy własne trunki. Przenosimy się więc do pokoju Eli i Jarka, gdzie kontynuujemy.

Krzysztof Papierkowski





JAK PILOT Z PILOTEM

(autentyczne rozmowy)



Pilot-uczeń: Zgubiłem się. Jestem nad jakimś jeziorem i lecę na wschód.

Pilot-kontroler: Zrób wielokrotnie zwrot o 90 stopni, to będę mógł znaleźć cię na radarze.

Krótką przerwę.

Pilot-kontroler: No, dobra. To jezioro – to Ocean Atlantycki. Proponuję natychmiast skrócić na zachód.

Samolot linii SABENA zatrzymuje się za samolotem linii KLM, w oczekiwaniu na start na zatłoczonej drodze podjazdowej.

SABENA do KLM, na częstotliwości kontroli: KLM, czwarty w kolejce na start, zgłoś się na 3030.

Brak odpowiedzi.

Po paru minutach SABENA woła znowu: KLM, trzeci w kolejce na start, zgłoś się na 3030.

Znów brak odpowiedzi, więc SABENA wzywa kontrolę: Wieża, powiedzcie KLM przed SABENA, żeby się do nas zgłosili na 3030.

I wtedy włącza się załoga KLM: Wieża, powiedz SABENA, że profesjonaliści z KLM nie wchodzą na prywatne kanały, gdy powinni być na nasłuchu wieży.

SABENA odpowiada na to: Dobra, wieża, nie ma sprawy – tylko powiedz tym profesjonalistom z KLM, że nie zdjęli szpilek blokujących podwozie.

Chwila ciszy – i KLM: Wieża, KLM prosi o pozwolenie na powrót do bramki.

Pilot helikoptera do kontroli podejścia: Tak, jestem 3000 stóp nad Charlie.

Drugi głos na tej samej częstotliwości: Nie!!! Nie możesz! Ja też jestem na tej samej wysokości nad tym samym namiarem!

Krótką przerwę, po czym powtórnie odzywa się pierwszy głos: Ty idioto! Jesteś moim drugim pilotem!

Pilot Alitalia, któremu piorun wyłączył pół kokpitu: Wszystko wysiadło, nic już nie działa, wysokościomierz niczego nie pokazuje...

Po pięciu minutach takiego nadawania odzywa się pilot innego samolotu: Zamknij się i umieraj jak mężczyzna!

[z Internetu]

W następnym numerze: **JAK PILOT Z MECHANIKIEM**

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Kisiel

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
234

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji